

Kammena

LUBLIN 5 VIII 1979 NR 16 (684)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

STRONA 3

Kogo boli serce?

Bronisław Kowalski

NAJŻARLIWIEJ wystąpił pan Pudelko: — My ciągle mówimy o handlu, o kuchni, a trzeba nam żeby przyjeżdżali nowi Szopeni, Zeromscy, Prusowie. Ten dom w gaju przeznaczylbym na dom pracy twórczej. Tam by sobie mogli przyjeżdżać artyści i tworzyć. To miejsce nastroja, bo jest piękne. No pewnie, a pan Pudelko, który jest rzeźbiarzem, znanym nie tylko w Nałęczowie, miałby za sąsiadów ludzi bliskich sobie duchem. „Dom” do opuszczona willa zwana „Brzozy”. Architekt Ma-

jewski sądził, iż w wystąpieniu rzeźbiarza znalazł haczyk na niego samego: — Czy pan czytał punkt 44 naszych ustaleń? — zapytał — Tam właśnie jest projekt, żeby powstała w „Brzozach” placówka kulturalna. — Ale ma być dom kultury — pomrukiwał rozżalony rzeźbiarz — a wiadomo co będzie: wino i dyskoteka.

Dokończenie na str. 5

Krzysztof Kamil Baczyński

Z GŁOWĄ NA KARABINIE

Nocą slysze, jak coraz bliżej
drząc i grając krąg się zaciska.
A mnie przecież zdroj rzeźbił chyży,
wyhułała mnie chmur kołyska.

A mnie przecież wody szerokie
na dźwigarach swych niosły płatki
bzu dzikiego: bujne obłoki
były dla mnie jak uśmiech matki.

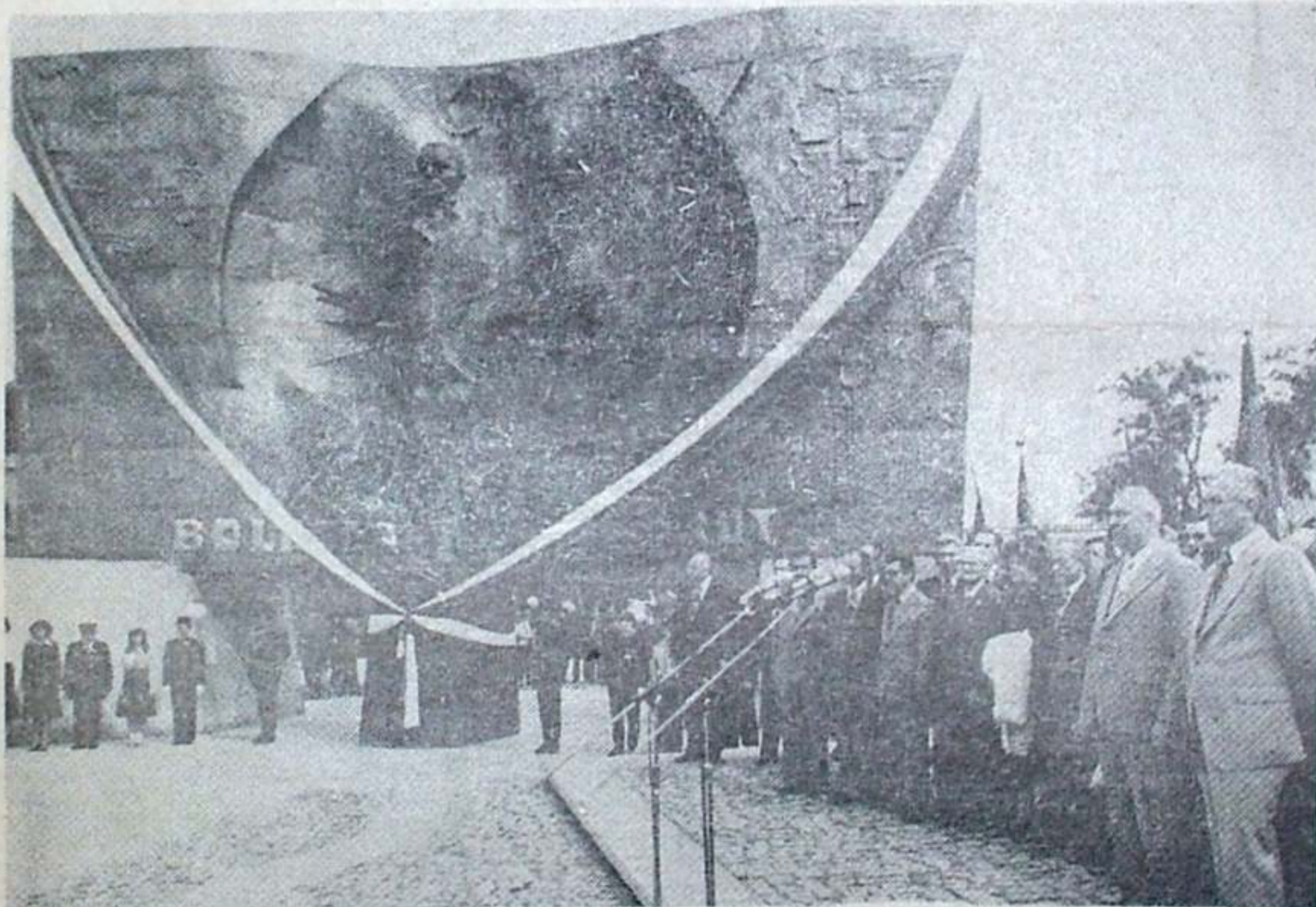
Krąg powolny dzień czy noc krąży,
ostrzem świszcząc tnie już przy ustach,
a mnie przecież tak jak i innym
ziemia rosła tęga — nie pusta.

I mnie przecież jak dymu laska
wytryskała gołębia młodość,
teraz na dnie śmierci wyrastam
ja — syn dziki mego narodu.

Obskoczony przez zdarzeń zamęt,
kręgiem ostrym rozdarty na pół,
głowę rzuć pod wiatr jak granat,
piersi zgniecie czas czarną lapą;

bo to była życia nieśmiałość,
a odwaga — gdy śmiercią niosło.
Umrzeć przyjdzie, gdy się kochało
wielkie sprawy głupią miłością.

Na str. 3 zamieszczamy wspomnienie o Krzysztofie Kamile Baczyńskim Zbigniewa Baczyńskiego, jego stryjcznego brata.



19 lipca w Lublinie I sekretarz KC PZPR tow. Edward Gierek dokonał odsłonięcia pomnika Bolesława Bieruta

Fot. Zb. Jaśkiewicz

DNI PIERWSZE (II)
LUBLIN stosunkowo mało ucierpiał podczas działań wojennych. Działała elektrownia i wodociąg. Już na początku sierpnia usunięto z ulic wraki czołgów i samochodów, sprzątnięto gruzy. Częściowo funkcjonowały telefony. Żywność nabywano na kartki; paskarze nie zbeczelnieli jeszcze do cna. Życie codzienne nabierało spokojniejszego rytmu. W „Rzeczypospolitej” z 6 sierpnia obywatel Białkowski ogłaszał uruchomienie biura mierniczego przy ul. Sądowej 4, nieco później dorożkarze i furmani zapraszali kolegów na zebranie organizacyjne w budynku przy Krakowskim Przedmieściu 64, czyli niedaleko siedziby Borejszy. Być może na tym właśnie spotkaniu Józef Kasprzak użalał się, że spod samego kościoła Bernardynów skradziono mu klacz i wałacha z wozem. Poza tym obywatele nagminnie gubili kenkarty i inne dokumenty okupacyjne...

3 sierpnia, w tym samym dniu, kiedy do miasta przybył Bolesław Bierut, a naczelny dowódca Wojska Polskiego gen. Michał Rola-Zymierski przedstawił posiedzeniu PKWN plan mobilizacji — odbyło się zebranie miejscowych artystów, którzy postanowili otworzyć własny salon wystawowy, sklep oraz kawiarnię. Wybrano też zarząd tymczasowy związku, prezesurę powierzając Marianowi Tomaszewskiemu, który wojnę spędził w Lublinie, wykładając w szkole malarstwa i rysunku Janiny

Miłosłowej. Ta dzielna kobieta, niezła zresztą malarzka, prowadziła zakład od 1931 roku, po przejęciu go od Ludwiki Mehofferowej, a podczas okupacji dokonywała cudów zręczności, aby tylko utrzymać szkołę w ruchu. Nauczający w jej murach M. Tomaszewski nie zaniedbywał własnej twórczości i teraz, zaraz po wyzwoleniu, mógł się pochwalić takim dorobkiem, który z miejsca dawał mu pozycję np. w awangardzie krakowskiej. Jak się jednak miało okazać, w Lublinie innym okiem spójrzano na jego niewielkie, nieco spokrewnione z Picassem i Legerem gwasze...

Plastycy sposobili się do pierwszej wystawy, odbywały się przedstawienia teatralne, reaktywował działalność lubelski chór „Echo”, ukazywały się dwa dzienniki drukowane w niewielkich prywatnych drukarniach (przy ul. Zamojskiej, dziś: Buczka, i

przy ul. Kościuszki), wypełniały się kawiarnie, cukiernie i herbaciarne, w których redaktorzy kolejnych wydawnictw prasowych opracowywali koncepcje edytorskie. Ale w tym artystyczno-towarzystwym repertuarze form czegoś brakowało. Czego? Kina, naturalnie.

Takoż otwarto je wkrótce. Chwały się pięknymi, powiedzmy, nazwami: „Apollo” (dziś „Wyzwolenie”), „Rialto” („Staromiejskie”) i „Venus”, które zmieniło później imię na „Bałtyk”, aby stać się ostatecznie „Robotnikiem”. Jako pierwsze bodaj filmy fabularne wyświetlano radziecki obraz „Parochomienko” i amerykański „Trzej muszkieterowie”.

Dokończenie na str. 4

„Apollo” i „Pszczółka”

Ireneusz J. Kamiński

Wśród Polaków w Australii

Małgorzata Sawicka

W POKOJU jest chłodno i mroczno, choć za oknem leje się jak skrawki żar z nieba. Regały zapchane po sufit różnorodnymi książkami, na biurku miniatura warszawskiej Nike, ścianę zdobi cepeliowski kilimek. Na stole leży wiolonczela ze zwisającymi luźno strunami; Wandzia Sendzimir ogląda troskliwie instrument.

— Czy ona choruje? — pytam wskazując na wiolonczelę.

— Jeśli strun się nie rozluźni, pękają od gorąca.

Australijskie lato bywa dokuczliwe, a słońce nie tylko wysuszy trawę, odkryje splekane dna rzek i jezior, ale i wysuszy życie z człowieka zblakłego w buszu. Latem wrze w zbiornikach woda, a w gorącym piasku w trzy godziny można ugotować jajka na miękko.

Trzynastoletnia dama w białych spodniach i w bawelnianej koszulce bawi mnie rozmową. Chodzi do średniej szkoły muzycznej. Gra na pianinie i wiolonczeli. Uczy się dobrze a w przyszłości chciałaby zostać lekarzem. Mówi po polsku swobodnie, choć często najpierw nasuwa się jej zwrot angielski. Ale babcia zawsze ją poprawia, a mama i tato w domu rozmawiają tylko po polsku. Ostatnio czyta książkę „Panna z mokrą głową”, którą przysłał jej kuzyn z Polski.

Urodziła się i mieszka w Perth, stolicy stanu Australia Zachodnia.

Snieg po raz pierwszy zobaczyła kilka lat temu w Alpach Australijskich, drugi raz cieszyła się nim w czasie pobytu w Polsce. A jak powtórnie pojechali do Polski już latem (cała rodzina oprócz psa), to bardzo jej smakowały poziomki i maliny. A tu malin nie da się wyhodować. Teraz, kiedy powinny dojrzewać, słońce tak piecze, że zamiast pęcznieć sokiem — poparzone usychają.

W szkole nigdy nie rozmawia po polsku. Ma zresztą australijską przyjaciółkę i nawet kiedyś wydawało jej się, że może w jej szkole nie ma Polaków. Ale kiedy papieżem został kardynał Wojtyła, dyrektor zwołał wszystkich uczniów na apel i poprosił, by wystąpiły polskie dzieci, a potem pogratulował im wyboru rodaka na papieża. Wszyscy klaskali, a ona była bardzo dumna i tylko w duchu się dziwiła, że tak dużo w szkole jest polskich dzieci.

Na różowej okładce zakreślony jest czarny krag, w środku drzewo z rozróżnionymi korzeniami — symbol przynależności do macierzy. A na obwodzie koła napis „Animo et fide. Koło Polek. Perth”.

W środku pełna różnorodność tematów: jakie cuda czyni czosnek, przepis na krupnik staropolski, napisany po angielsku wiersz Wandy Sendzimir mówiący o stracie ukochanego psa, są wspomnienia z czasów wojny i informacje o zjeździe Polek w Kanadzie, jest też słowo od prezesa!

Drogi panie członkini!
(...) Kadra starszych Pań jest zmęczona — sil ubywa. Młodsza generacja obojętna, „niech tam sobie robią byle nie ja... mam swoje życie”. Takie i inne stwierdzenia nierzadko się słyszy. Drogi panie, zróbmy uczciwy rachunek sumienia: „czy coś z siebie od czasu do czasu powinnam dać?”. Obudźmy w sobie szlachetne polskie serce.

Gazetka Koła Polek wychodziła dotychczas trzy razy w roku, teraz ze względu na zbyt duży koszt częstotliwość jej ukazywania ma być jeszcze zmniejszona. Natomiast regularnie, co miesiąc, odbywają się zebrania i pewnej listopadowej niedzieli udało mi się z trudem („och, nieciekawo program, wynudzi się pani”) na takie zebranie wprosić.

Dom Polski tylko tym, że jest odrapany i ponury wyróżnia się wśród innych zabudowań starej dzielnicy Perth. Prosto z ulicy wchodzi się do sali głównej, gdzie na przydymionej ścianie króluje orzeł, czają się jakieś spłowiałe plakaty, wyblakłe obrazy i sztuczne kwiaty. Tylko efektowna wystawa wyrobów jubilerskich zaplanowana właśnie na dzisiejsze spotkanie i różnobarwne suknie zażbanych kobiet rozjaśniły skutecznie to wnętrze.

Historia każdej z pań to część emigracyjnego losu, niełatwego skoro tak dużo tu posiwiąłych głów i wyokrągłych pleców. Jedyna w tym towarzyszywie przez kontrast tym bardziej eksplodująca młodością to pulchna blondynka Joanna. Za mąż wyszła z ogłoszenia matrymonialnego. Korespondencyjny narzeczony przyjechał do Polski poznać dziewczynę, wsiadł i wyjechał już jako mąż. Wkrótce potem ściał do Perth urodziwą małżonkę. Zaczyna teściowa uznać, że synowa zapewne tęskni do polskiej mowy w środowisku australijskich Holendrów (czy holenderskich Australijczyków?) i skontaktowała ją przez kuzynkę z przesiadką Kola Polek Marią Gerus.

Pani Maria przed trzema laty dopiero włączyła się do pracy społecznej, a przyjechała tu kilkanaście lat temu z podlubielskiej szkoły, gdzie uczyła, wprost do australijskiego buszu. Jakiś czas mieszkali z mężem w przyczepie campingowej — on ścinał drzewa od świtu do nocy, żeby szybciej się dorobić, ona pichciła obiady. Udało się, teraz jest leży, mają własny dom, auto, dwu synów...

Pani Antonina przewędrowała pół świata zanim znalazła się w Australii. Kazachstan, Indie, gdzie uczyła języka polskiego w liceum pedagogicznym, potem Uganda. Wreszcie przyjechała do Perth z synem i małym Antkiem Cwetshem, kuzynem, którego wojna zaskoczyła u niej w domu, a który teraz jest sekretarzem klubu „Cracovia”. Nawyk uczenia pozostał. Kiedy w 1953 r. zaproponowano jej zorganizowanie sobotniej szkoły, ucieczyła się.

W soboty ten lokal zamienia się w szkołę. Z „Elementarza” Falskiego dzieci duka ją pierwsze słowa po polsku. Uczy pani Antonina, która jest kierowniczką szkoły i choć dawniej przekroczyła siedemdziesiątkę, emanuje niewyczerpaną energią. Uczy jeszcze cztery inne panie, wśród nich prezesa, mówienia, czytania, pisanie, a w klasach starszych — literatury i historii. To że dzieci regularnie przyjeżdżają na lekcje, jest zasługą ich rodziców. To oni je czasem zmuszają, oni znajdują czas, żeby poświęcić przywieźć z miejsc odległych do szkoły kilkanaście, czasem nawet kilkadziesiąt kilometrów.

Ostatnio przyjęto do pierwszej klasy osobliwego ucznia: 25-letni ubitopak, który ma dobrą pracę i ciekawe towarzysstwo, postanowił nauczyć się polskiego. Dlaczego? Po prostu był na pogrzebie nauczyciela, pani Jagielnickiej, i kiedy silił się kondolencje jej rodzinie, poczuł wstyd, że nie potrafi tego zrobić po polsku. A noce przysnęła mu się nieżyjąca matka, która powiedziała: „Nie zapomnij synu ojczyźnej mowy”.

Jest w Zachodniej Australii kilka organizacji polonijnych o tak skrajnie różnych poglądach, że nie ma mowy o złączeniu się w jeden wspólny front. Nietolerancja zaś pogłębia różnice. I jest bodaj tylko jedna płaszczyzna, na której spotykają się wszystkie organizacje. To radio etniczne. Dwa razy w tygodniu przez pół godziny można posłuchać polskiej mowy i polskich piosenek.

Na spotkanie z przedstawicielami Komitetu Radiowego umówiłam się w klubie „Cracovia”, który wydał mi się dziwnie znajomy i swojski w zaulku tego egzotycznego miasta pełnego rozdręganymi obojętnymi reklam. Równo przystrzyżony trawnik, ciężkie głowy kwitnących słoneczników. W sali klubowej gabloty z pucharami — to trofea drużyny piłki nożnej, bilard, bar serwujący staropolski bigos i pierogi. W sąsiednim budynku, do którego idzie się przez schludne podwórko, jest sala z dużym stołem konferencyjnym i pokój, gdzie sprzedaje się polskie płyty i książki i gdzie sekretarz Klubu, Franciszek Cwetsh, prowadzi biuro podróży, załatwiając jednocześnie formalności związane z wyjazdem do Polski.

W kabinie, skąd puszcza się płyty i taśmy na salę klubową, wśród mikrofonów i magnetofonów, czyli w scenarii sprzyjającej rozmowom o radiu, gawędzimy o audycjach i o pracy społecznej w ogóle: pani Teresa Sendzimir, na co dzień nauczycielka geografii w australijskiej szkole średniej, od kilku dni nowo wybrana przewodnicząca Komitetu Radiowego, pani Władysława Polakiewicz, z konieczności krawcowa, z zamilowania mól książkowy, w ubiegłym roku reprezentowała „Cracovię” w Komitecie Radiowym, teraz została jego sekretarzem, i pani Lusja Cwetsh, skarbnik i prawie mieszkanka Klubu.

Przewodnicząca wylicza organizacje, które kolejno mają przygotowywać audycje: — Koło Polek, Związek Polaków, Stowarzyszenie Komitantów Polskich, Ośrodek Katolicki i „Cracovia”. Gotowa audycje komisja działająca przy Komitecie będzie kwalifikować na antenie. O audycji wspólnej nawet nie ma mowy. Przeszkadza im

na perspektywa widzenia pewnych spraw przekonania polityczne.

— Ale — wtrąca — minister ds. grup etnicznych przy rządzie stanowym w Zachodniej Australii wyraźnie zaleca apolityczny profil tych audycji.

— Widzi pani, dla niektórych, tu, na emigracji, czas zatrzymał się w miejscu. Ciągłe tkwi im w głowie ten biały koń, szablę, ostrogę... A jakie to może mieć w tej chwili znaczenie? Kogo te obrazki „retro” obchodzą? Powinniśmy wszyscy mówić o pięknie ziemi polskiej i jej wielowiekowym dorobku kulturalnym. A propagując polską kulturę i sztukę w środowisku australijskim, bo takie mamy ambicje, i tak napotykać na opór. Po co więc dodatkowe tarcia wewnętrzne? Zwłaszcza, że praca społeczna wymaga tyle wyrzeczeń i trudu.

Upalna noc australijska, jedna z tych, która wypędza ludzi z dusznych pomieszczeń, gdzie nie ma klimatyzacji, na równie duszną otwartą przestrzeń, zmusza do rozbijania nocą obozów nad morzem. Siedzimy poutykani na ławach, leżakach, w plecionych fotelach na podwórku u państwa Sendzimirów. Nad głowami wiszą pęczniące winogrona, słychać szum morza. Panie w wydekolowanych sukniach krzątają się przy skwierczących na rozgrzanej blasze befsztykach. Typowe australijskie garden party — barbecue.

Goście to móżg „Cracovii”: prezes Janusz Smenda, sekretarz Franciszek Cwetsh, skarbnik — jego żona Lusja, szefowa Komitetu Radiowego i gospodyni w jednej osobie Teresa Sendzimir...

Rozmawiamy o Fibaku i o Pendereckim, o gospodarce leśnej w Polsce i zatopieniu jeziora Pedder na Tasmanii, o tym, co w „Kulturze” i „Polityce”, a co w „Cracovii”.

„Cracovia” zaczynała skromnie w maju 1950 r. jako klub sportowy. Wtedy obecny prezes po raz pierwszy usłyszał w radiu o „polskiej jedenastce”. Nawet kopał przez pewien czas piłkę, ale jako sportowiec większej roli nie odegrał. Klub szybko rósł w siłę, drużyna zdobyła mistrzostwo ligi, potem puchar przechodni i puchar nocnych rozgrywek. W australijskich gazetach rozpisywano się o wysokim kunsele piłkarskim zawodników. To przyciągało coraz więcej Polaków do klubu.

Z czasem okazało się, że prowadzenie tylko zajęć sportowych to zbyt wąska rama dla klubowej działalności. Powstały więc sekcje pozasportowe. Sekcja filmowa sprowadza polskie filmy z konsulatu z Sydney, albo wypożycza na statkach zawiązanych do Fremantle. Sekcja radiowa, która zdobyła dominującą pozycję w Komitecie, sekcja piłki nożnej dla pań i koszykówki w wydaniu anglosaskim. Niedawno wchłonęła „Cracovia” zespół „Młode Mazowsze” razem z instruktorem — Longinem Szymańskim, byłym tancerzem sławnego „Mazowsza”. Wkrótce ma powstać sekcja pomocy społecznej — są przecież choroby, kryzysy rodzinne, a Polacy powinni sobie nawzajem pomagać.

Klub jest niewątpliwie w stolicy Zachodniej Australii najsilniejszą i najbogatszą organizacją polonijną, co w kraju, gdzie respektuje się siłę i dobrobyt, nie jest bez znaczenia. I trzeba przyznać, że ludzie garną się do klubu, ale nie ma w tym nie przypadkowego, bo jest to efektem przemyślanej do końca polityki zarządu.

Otóż jego pragnieniem jest stworzenie w miejsce kilku kulejących, niewielkich organizacji jednej — tak silnej i prężnej, że pracowałyby nie tylko nad utrzymaniem polskości w środowisku polonijnym, ale byłaby w stanie oddziaływać na kulturę australijską w znacznie większym niż dotychczas stopniu. I do tej roli przygotowują „Cracovię”. Niełatwe to zadanie, ale przecież możliwe do przeprowadzenia. Więc pierwsza zasada w klubie to tolerancja. Dopóki ktoś pracuje dla klubu jest osobą ważną i cenioną. Sprawy pozaklubowe, przynależność polityczna, przekonania, wyznaczenie pozostawia się jego sumieniu.

Druga — to realizm. Gałąź odcięta od drzewa — uschnie, Polonia bez kontaktu z krajem wygaśnie. Stał konieczny jest propagowanie aktualnych osiągnięć gospodarczych i kulturalnych kraju, sprowadzanie polskich artystów. Trzeba było widzieć tych ludzi, jacy byli dumni, gdy kilkanaście lat temu tańczyli tu „Mazowsze”, grał Konstanty Kulka i Wanda Wilkomirska. I po trzecie — serdeczność, dobra atmosfera. W klubie nie ma żadnych różnic. Wszyscy są równi. A gość, który zechce za tysiąc dolarów kupić sobie członkostwo honorowe, owszem, może zostać przyjęty, ale gdy już będzie wiadomo, kto to jest. Stawianie pytania „kto?” zanim zapyta się „ile?” w materialistycznym kraju jest cenne i odświeżające.

Zażartował ktoś kiedyś, że w klubie są „sami gwoli”. Zaczęło się od żartu, a urosło do symbolu.

SZPALTA O SPORCIE

LIPCOWY sezon ogólnokrajowy w sporcie polskim i światowym w tym roku nie sprawdza się. Trwają dwie wielkie imprezy, które może nie emocjonują naszych kibiców udziałem gwiazd polskiego sportu, ale nie skąpią ciekawych wyników. Pierwszą z nich — to Spartakiada Narodów ZSRR; w roku przedolimpijskim jest ona nie tylko sprawdzianem sił sportowców radzieckich i walką o tytuły mistrzowskie kraju, zajmującego czołowe miejsca w sporcie światowym, lecz także po raz pierwszy międzynarodowym mityngiem umożliwiającym zapoznanie się sportowcom i działaczom z całego świata z terenami i obiektami sportowymi, na których za rok odbędzie się Igrzyska Olimpijskie Moskwa 80.

Udział Polaków w tej imprezie ma też tylko charakter rozpoznawczy. Czołówka lekkoatletów przygotowuje się do finałów Pucharu Europy. Nie mogli więc jechać do Moskwy, ale ponieważ potraktowano Spartakiadę jako środek do rozpoznania, większy jest w niej udział trenerów, obserwatorów, kierowników wyszkolenia, którzy swe obserwacje poczynione w Moskwie będą mogli wykorzystać w ostatnim roku przygotowań do Igrzysk Olimpijskich. A my, kibice, szczególnie uczyć mamy oglądając na telewizyjnym ekranie współzawodnictwo gimnastyków i gimnastyczek radzieckich, których na pewno do czołówek światowej kwalifikuje się kilkakrotnie więcej niż może brać udział w olimpijskim konkursie.

To samo zresztą można powiedzieć o bokserach radzieckich, kubańskich i amerykańskich, chyba dziś trzech największych potęgach w tym sporcie.

Mamy więc przedsmak widowiska, choć jeszcze nie mamy przedsmaku emocji, które czekają nas za rok na tych samych stadionach, torach i salach, gdy i nasi najlepsi będą uczestniczyć w walkach toczonych o laury olimpijskie.

Też naszą największą lipcową imprezą — Spartakiadę Młodzieży oglądamy, już pod kątem olimpiady, wprawdzie nie najbliższej, ale tej za lat pięć.

Uroczyste otwarcie Spartakiady Młodzieży poprzedziła Sztafeta Pokoleń niosąca z Chelma — miasta Manifestu Lipcowego, przez Lublin — stolicę PKWN i Rządu Tymczasowego przez Studzianki i Warszawę płomień z pieca Cementowni, od którego zapłonął znicz Spartakiady. Wiele tysięcy sportowców uczestniczyło w tej sztafecie. Co najmniej drugie tyle młodych i starszych amatorów entuzjastycznie towarzyszyło w biegu z ogniem członkom oficjalnych ekip. Przyczyniło się to do popularyzacji sportu, do popularyzacji biegu dla własnej przyjemności, dla własnego zdrowia, a nie tylko dla wyniku, dla punktów.

Punkty natomiast liczone są skrupulatnie już w czasie trwania spartakiady. Zbierają je młodzi sportowcy w kategoriach juniorów młodszych i juniorów starszych w najróżniejszych dyscyplinach indywidualnych i grup. Współzawodnictwo czterdziestu dziesięciu województw zakończyło się w niedzielę zespół województwa lubelskiego zajął jedenaste miejsce.

Nie miejsce tu i nie czas na ocenę wyników Spartakiady Młodzieży. Ale jedno można stwierdzić: wśród nazwisk zwycięzców, które codziennie publikuje „Trybuna Ludu”, oraz tych, których nazwiska publikują tylko pisma terenowe omawiające wyniki swoich przedstawicieli, trzeba szukać przyszłych mistrzów Polski, rekordzistów kraju i świata, naszych reprezentantów na Igrzyskach Olimpijskich w Los Angeles w 1984 roku, Mistrzostwach Europy i różnych innych imprezach lat osiemdziesiątych.

igw.

Z KRZYSZTOFEM Kamiłem Baczyńskim spotykałem się przy okazji świąt i rodzinnych uroczystości. Krzysztof był ładnym chłopcem, nie pozbawionym wdzięku i urody, o pięknych, delikatnych, regularnych i wyrazistych rysach twarzy i bladej cerze. Ciemny blondyn z falującą czupryną, o wielkich niebieskich oczach, oprawionych długimi, czarnymi rzęsami; wejrzenie miało marzycielsko-melancholijne. Urodą swoją wzbudził ogólne zainteresowanie wśród otoczenia, w stosunku do którego zachowywał jakby pewien dystans. Nie wynikał on z zaręczoności, ale z poważnego, milczącego usposobienia. Małomówny i nieskory do śmiechu, swoją powagą nad wiek i skupieniem działał mógł nawet odstraszać. Był niechętny do rozmów konwencjonalnych; zajęty swoimi myślami, obecny tylko fizycznie. Z drugiej zaś strony, kiedy napotkał chętnego do rozmów, potrafił wykaazać duże ożywienie i swoiste odziedziczone po matce, poczucie humoru.

Od urodzenia był wątłego zdrowia, chorowity. Często zapadał na przeziębienia i w obawie o stan zdrowia trzymany był w izolacji od rówieśników; przez długi czas nie wyjeżdżał nawet z Warszawy. Matka pielęgnowała go aż do przesady, niczym roślinę cieplarnianą, wbrew woli ojca Stanisława. Uwielbiała go i kochała. Dbala bardzo o wygodę syna, a szczególnie o jego zdrowie, które często szwankowało z powodu astmy, uczuleń i wrodzonych, chyba po niej, dolegliwości sercowych.

Widząc nieprzeciętność tego umysłu oraz duże zdolności do nauk humanistycznych Krzysztofa, rodzice wybrali dla niego gimnazjum nr 1 w Warszawie im. Stefana Batorego, znane z najwyższego poziomu nauczania. Była to szkoła elitarna, gdyż do niej uczęszczał synowie ministrów, generałów, pisarzy i bogatych kupców. Cały dzień Krzysztofa wypełniała nauka w szkole i praca społeczna. Należał bowiem do nielegalnej organizacji młodzieżowej „Spartakus”, zrzeczającej młodzież o lewicowych przekonaniach, do której to zapisał się za namową ojca. Czas wolny poświęcał na lektury, przeważnie spoza programu szkolnego, szczególnie z biblioteki domowej. Krzysztof ukończył liceum i złożył egzamin dojrzałości w maju 1939 roku.

Już w okresie szkolnym dawał ułust swoim zamilowaniom humanistycznym, czytając z dużym zainteresowaniem i zapałem utwory klasyków literatury światowej oraz dzieła z filozofii i socjologii. Rozczytywał się w nich nawet z uszczerbkiem dla niektórych przedmiotów szkolnych. Język francuski znał na tyle, że już w szkole mógł tłumaczyć niektóre utwory na język polski; uczył go przyjaciel ojca, profesor Semil. Lekcje miał zawsze starannie odrobione; zeszyty utrzymywane we wzorowym porządku, a nierzadko ozdobione luźnymi rysunkami, ujawniającymi duże zdolności artystyczne. Wyrazem tych umiejętności były rysunki na obwolutach wydawanych później wierszy lub też inicjały oraz czarnobiałe rysunki lub akwarele rozwieszane na ścianach jego pokoju. Zdolności te odziedziczył chyba po ojcu. Posiadał również talent naśladowczy; na przykład niejako poważnemu usposobieniu umiał doskonale naśladować dykcję i ruchy swoich znajomych.

Wychowanie Krzysztofa przez matkę nie odpowiadało jego ojcu, który przeszedł twardą szkołę życia. Do prób poetyckich syna odnosił się z dużą dozą krytycyzmu, jako krytyk literacki znany był z dużych wymagań wobec twórczości pisarskiej. Syn odziedziczył po ojcu pewną dążność do niezależności oraz krytycyzm i sceptycyzm, co szczególnie uwydatniło się w przypadku, kiedy nie zgadzał się z poglądami lub postawami życiowymi innych.

W ferworze dyskusji nie ukrywał swojej dezaprobaty i potrafił się zachowywać nawet dość żywiołowo, ironizując poglądy rozmówcy, niekiedy nawet z nieukrywaniem złośliwości. Przy jego zaś zewnętrznej nienaganności i wrażliwości człowieka spokojnego, stanowiło to nierzadką prawdziwą niespodzianką dla nieznających go bliżej. Był, podobnie jak jego ojciec, człowiekiem niezwykle inteligentnym, o dużej wiedzy humanistycznej. Interesował się literaturą, filozofią, socjologią i polity-

ką, odnośnie zaś stosunków społeczno-politycznych w naszym przedwojennym państwie, wyrażał poglądy zgoła odmiennie od oficjalnych. Było to niewątpliwie wynikiem wychowania, jakie Krzysztof odebrał w domu, gdzie panowała atmosfera postępowych idei, wyznaczanych przez oboje rodziców.

Pod względem światopoglądowym znalazł go jako ateistę. W tym względzie uległ silnemu wpływowi ojca, który narzucał mu poglądy materialistyczne i sam był zdecydowanym ateistą. Stąd też dziwnym wy-

Teraz, po latach, siedząc pamięć postać Krzysztofa od czasów szkolnych aż do 1943 roku, kiedy to widziałem go po raz ostatni, unocenia mi się z perspektywy czasu nad podziw szybki jego rozwój intelektualny, który odwrotnie — proporcjonalnie do jego wątlej kondycji fizycznej, postępował w bardzo szybkim tempie. Ostatecznie przekształcił się z pełnego kontemplacji i medytacji chłopca w dojrzałego mężczyznę, poecie, pisarza, działacza, a w końcu w walczącego czynnie w konspiracji żołnierza.

POETA I ŻOŁNIERZ

Zbigniew Baczyński

Krzysztof Kamił Baczyński, urodzony w Warszawie 22.I.1921 r. to jeden z tych, o których Stanisław Pięgoś powiedział, że „naród polski był zmuszony do swoich wrogów strzelać brylantami”. Obowiązek patriotyczny postawił nad swój niezwykły talent poetycki. Podczas powstania warszawskiego walczył w szeregach batalionu „Zośka”, następnie „Parasol”. Zginął 4.VIII.1944 r.

W niehumanitarnym czasie tworzył poezję przepojoną pragnieniem wolności i poczuciem tragicznego losu swojego pokolenia. Zawarł ją w tomikach „Zamknięty echem” (1940), „Dwie miłości” (1940) i „Wiersze wybrane” (1942). Po wojnie ukazały się „Utwory zebrane” obejmujące całość jego dorobku literackiego.

Obok zamieszczamy wspomnienie o Krzysztofie Kamiłku Baczyńskim pióra doc. dr. hab. Zbigniewa Baczyńskiego, jego stryjecznego brata, który pracuje jako kierownik Zakładu Wirusologii Instytutu Weterynaryjnego w Puławach.

daje mi się przejście Krzysztofa w twórczości poetyckiej i w późniejszym życiu na pozycje metafizyczne czy religijne, łącznie z jego ślubem kościelnym z Barbarą. Być może przeważał tu po śmierci ojca wpływ wierzącej matki i żony oraz zadziałała ogólna sytuacja życiowa w okupowanej Warszawie.

Matka Krzysztofa, Stefania, pozostała mi w pamięci jako kobieta, która zwracała uwagę swoim skromnym, ale gustownym ubiorem i powagą. Posiadała dużo osobistego wdzięku i kultury. Średniego wzrostu, ciemnej karnacji, o niebieskich oczach, posiadała charakterystyczny, nosowo-gardłowy dźwięk mowy, jako pozostałość po przebytej w dzieciństwie operacji gardła. Odnaczała się dużą inteligencją i bystrością umysłu oraz swoim poczuciem humoru. Z natury była spokojna, zrównoważona, umiała łatwo nawiązać kontakt słowny i prowadzić rozmowę na poziomie możliwości intelektualnych rozmówcy, co wynikało m. in. z jej pedagogicznego wykształcenia i rozległej wiedzy. Była bardzo czynna. Ze względu jednakże na przewlekłą chorobę serca sama wymagała stałej i troskliwej opieki.

Z zawodu była nauczycielką, polonistką, aktywnie też działającą w ZNP; studiowała we Lwowie i tam poznała stryjka Stanisława. W Warszawie przez jakiś czas była dyrektorką seminarium nauczycielskiego. Pisała bajki dla dzieci i młodzieży. Brała również udział w redagowaniu podręczników szkolnych; pisała cytanki i artykuły do czasopisma „Płomyk”, w którego redakcji pracowała.

Z oceny dorobku literackiego Krzysztofa wynika, że rozpoczęła w latach szkolnych twórczość poetycka, podejmowana z początku bardzo nieśmiało, wzniosła się w latach okupacji w szybkim czasie na wyższy intensywności, o czym świadczyć może fakt napisania osiemdziesięciu utworów w ciągu osmiu miesięcy. Poezja była dla niego jakby ucieczką od życia i smutnej rzeczywistości.

W lecie 1943 roku, przebywając kilka dni w Warszawie, byłem gościem młodych państwa Baczyńskich, mieszkających wraz ze stryjenką Stefanią nadal przy ul. Hołówki, aczkolwiek w innym już, mniejszym mieszkaniu. Żona Krzysztofa, Barbara, zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Była ładną i pełną wdzięku, skromną, bezpośrednią osobą. Żył życiem męża, zapartuzona z wiarą i ufnością w jego talent poetycki, podobnie jak i matka Stefania, z którą rywalizowała nawet w obdarowaniu Krzysia uczuciem miłości, troską i szczególną kobiecą opieką. Krótkie to było jednakże nasze spotkanie, gdyż do mieszkania Baczyńskich często ktoś przychodził ze znajomych i kolegów, prawdopodobnie z konspiracji, a ponadto w tych dniach Niemcy nasilali akcję „Japonek”, w nocy zaś samoloty radzieckie dokonywały nalotów bombowych. Rozmowy nasze były więc przerywane alarmami i skupiały się głównie wokół wydarzeń dnia codziennego. Panowała ogólna atmosfera zdenerwowania i niepokoju.

Stwierdziłem wówczas, że Krzysztof przekształcił się z wyplegniwanego jednaka w dojrzałego człowieka, zdolnego do opieki nad matką-wdową i żoną, zaprawionego i wdrożonego do życia i walki o byt. Na temat jego twórczości niewiele wtedy się mówiło. Krzysztof nie lubił mówić o swoich próbach poetyckich, chyba ze skromności i braku pewności siebie. Właściwie to o talencie Krzysztofa mówiły tylko matka i żona.

Nie przeczuwałem wówczas, że widzę go po raz ostatni. Po wojnie w 1946 roku, starałem się odszukać rodzinę Baczyńskich w Warszawie, ale w mieszkaniu przy ulicy Hołówki już ich nie było. Okoliczni mieszkańcy i administracja nie mogli udzielić mi żadnych informacji o Baczyńskich. Mówiono, że wszyscy zginęli w czasie powstania.

Moim zdaniem droga Krzysztofa do pozycji żołnierza wyszkolonego, z ukończoną w konspiracji podchorążówką, aktywnie działającego w akcji dywersyjnej, wybrana

została niewątpliwie w wyniku przemiany, jaka dokonała się w jego osobowości w warunkach terrorku i prześladowań, zmierzających do zagłady narodu. Krzysztof znalazł się w konspiracji nie po raz pierwszy, gdyż już w latach gimnazjalnych należał do nielegalnej, socjalistycznej organizacji „Spartakus”, biorąc nawet czynny udział w pracach zarządu. Zarówno przed wojną jak i w okresie okupacji korzystał z nielegalnych czasopism, w których publikował swoje pierwsze utwory, używając często pseudonimów Emil, Jan Żelazny, najczęściej zaś Jan Bugaj. Jego rewolucyjna twórczość poetycka musiała być związana, w warunkach okupacji, z nielegalnymi organizacjami i wydawnictwami. Stąd też, by wejść w środowisko literackie Warszawy, musiał brać udział w spotkaniach i tajnych zebraniach dyskusyjnych. Z konspiracją związał się również ze względów na chęć studiowania, razem z żoną Barbarą, polonistyką na kompletach tajnego nauczania. Z biografii jego wiadomo, że na studia uczęszczał niesystematycznie, zajęty był własną twórczością oraz lekturą odbiegającą od przedmiotów objętych programem obowiązkowego nauczania. Poezja i studia musiały go wciągnąć w coraz szersze kręgi konspiracyjnego działania, co wyrobiło w nim nową kategorię myślenia. Działalność bojową rozpoczął najpierw w akcjach dywersyjnych, a ukończył w powstaniu. Idea walki zaznaczyła się już w jego poezji, w której zaczęły przeważać utwory patriotyczne, żołnierskie, nawołujące do walki za Polskę.

Konspiracja zrzeczala ludzi młodego pokolenia, związanych początkowo więzami przyjaźni lub koleżeństwa, później zaś braterstwa broni i chęcią wspólnej walki. Owiany ideą tej walki oraz kierowany ambicją dorównania innym — pomimo złego stanu zdrowia, które mu przeszkadzało w regularnym przeszkoleniu wojskowym i uczestniczeniu w akcjach bojowych, nie bacząc na obowiązki względem matki i żony, dla których był jedynym żywicielem i opiekunem — wciągnął się w szeregi armii podziemnej.

W końcu znalazł się w harcerskiej grupie szturmowej Szarych Szeregów. Postawa patriotyczna (uzyskał stopień plutonowego po ukończeniu podchorążówki oraz stanowisko zastępcy dowódcy plutonu batalionów „Zośka” i „Parasol”) zobowiązała go niewątpliwie do podjęcia decyzji czynnego udziału w akcjach zbrojnych i wyrobiła w nim poczucie misji czynu. Uwierzyl w mit poety-żołnierza: zaangażowany i przejęty ambitnym zadaniem spełnienia do końca i z honorem owej misji, zgodził się nawet na to, by z narażeniem życia własnego i rodziny w mieszkaniu przy ulicy Hołówki odbywały się odprawy i szkolenia wojskowe a nawet mieścił się skład amunicji. Będąc w domu Baczyńskich w 1943 roku nie zdawałem sobie sprawy, jaką pozycję zajmował Krzysztof w podziemiu. Wszystko to w sumie, w zestawieniu z jego sposobem myślenia i zachowania się sprzed pięciu lat, odzwierciedla w sposób wyraźny przemianę z poety w żołnierza.

Twórczość poetycka Krzysztofa, jak i jego działalność jako żołnierza Polski Podziemnej, walczącego o wolność i nowy ład społeczny, nie były czymś odosobnionym w rodzinie Baczyńskich. Duch patriotyzmu i bojowości wywodził się niewątpliwie z tradycji walki rodu Baczyńskich, którą zainicjował jeszcze dziadek Zygmunt, żołnierz powstania styczniowego z 1863 roku. Tradycje rodowe kontynuował jego syn Stanisław, ojciec Krzysztofa, najpierw w konspiracji na terenie zaborów, następnie na frontach pierwszej wojny światowej, a w końcu w powstaniach śląskich. Krzysztof stał się zatem spadkobiercą tradycji walki o wolność i niepodległość jako przyswierała kilku pokoleniom Baczyńskich.

Bohaterska śmierć Krzysztofa Kamiła Baczyńskiego, poległego w dniu

Dokończenie na str. 13

Kamena str. 3

Kto kupi powieść?

Zygmunt Mikulski

WE WSPÓŁCZESNEJ prozie — szczególnie młodej — zaniknął zupełnie rodzaj, który można by określić mianem wyznania, konfesji, bezpośredniego przekazu świadomości. Czy nie lubimy się zwierzać, czy nie mamy z czego? Wprawdzie do niedawna praktykowane było coś takiego, jak monolog wewnętrzny, ale to był tylko chwyt stylistyczny mający na celu przez wprowadzenie wszystkowiedzącego autorskiego „ja” odjąć autorowi cały ambaras z kreowaniem postaci, kreowaniem sytuacji, przeprowadzaniem konfliktów. Po co zdobywać się na jakiś wymagający filozofii, światopoglądu, wiedzy o świecie epicki dystans? „Ja” wszystko załatwi. W dodatku zasugeruje, że tekst jest przejęty liryzmem, albo zawiera indywidualne punkty odniesienia. W tym sensie monolog wewnętrzny to więcej niż chwyt. To wykręt.

Zmieniła się stylistyka, bo zmieniło życie? Stało się szybciej, konkretnie, poganiające? Stało. Ale czy to samo nie wymaga postawy w znaczeniu: stanąć z boku, całością zjawisk składających się na tę modyfikację sposobu bycia potraktować jako przedmiot refleksji? Nie ma czegoś takiego. Współczesna proza wynika z postulatów: „skwic z życia”, nie: „wyjaśnić ży-

cie”. Dla przyszłego filozofa i socjologa kultury nie będzie pomocą w diagnozach. Będzie egzemplifikacją.

Jakże łatwo literatura dała się zawojuować fetyszowi technicznego postępu. Owszem, wieczne pióro stało się długopisem, welna — sztucznym tworzywem, samolot śmigłowy — odrzutowcem, koń — traktorem. Ale człowiek nie przestał być człowiekiem. Jest taki sam, jak za czasów Homera, Sokratesa, Kochanowskiego. I na to nie ma rady. A jeśli się znajdzie, zniknie literatura. Bo nie będzie miał kto ją tworzyć, ani jej potrzebować. Cóż więc za wykręt. Przypuszczam, że piszący (czy większość piszących) powołuje się na te modyfikacje, by ukryć swój brak kompetencji w kwestiach egzystencjalnych, nieumiejętność ich wyrażenia. Bo nie wierze, by nawet u obecnych trzydziestolatków nie istniało coś takiego, jak — nieprecyzyjne to terminy — poczucie tajemnicy, pragnienie transcendentalne. Istnieje, ponieważ od wiek wieków jest głównym nurtem twórczości, nawet tej naturalistycznej. Głównym motorem potrzeby i pasji wyrażania.

A zatem sub specie aeternitatis? Bezsprzecznie tak. Przy czym ta aeter-

nitą nie musi być wiecznością w sensie naiwnie-fideistycznym, mistycznym, czy ontologicznym. Ale musi być wiecznością w sensie poetyckim, to znaczy twórczym. Najwykresze, nawet grafomańskie przyłożenie pióra do papieru nie może wynikać z czegoś innego, niż chęć przyłożenia siebie do sprawy ostatecznej. W czymkolwiek by się ona wyrażała: w zakwitnięciu kwiatu, w opadnięciu liścia na ziemię.

Tymczasem wciąż ten sam schematyzm. Tak, schematyzm. Popatrzmy. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu autor napisał powieść, zarzucano mu: a gdzie obecność rady zakładowej PGR w kwestii zabezpieczenia sznurków do snopowiązałek? a dlaczego jedną z postaci jest rolnik tak zacofany, że nie zbudował wybiegu dla zimnego wychowu cieląt?; co to za świadomy robotnik, który ciepłe spojrzenie posłał dziewczynie w dodatku nie będącej przodownicą pracy, podczas gdy nie powinien spuszczać oka ze swojej maszyny? Minęło ćwierć wieku i zarzucają się mutatis mutandis te same: powieść współczesna, w której nie ma ani jednej sceny łóżkowej?; ani jednego spotkania grupy z marginesu społecznego w ekskluzywnej restauracji za sprawą i portfelem złapanego na erotyczną przynętę jelenia?; a gdzie machlojki tegoż z wykazami obrotów dla urzędu podatkowego?; a skok na zaparkowany samochód z zagraniczną rejestracją, w którym znajduje się tranzystorowe radio, magnetofon i elektryczna gitara?; i w ogóle co to za bohater, który przynajmniej od święta trochę sobie nie pokontestuje?

Mówi się o cenzorze wewnętrznym. Gorszy jest cenzor „atmosferyczny”. Presja nawyków środowiskowych, które jak moda zrodziły się znikąd, więc jako anonimowego pochodzenia są tym bardziej nieuchwytnie. I tym bardziej obowiązujące: redaktorów, wydawców, recenzentów, koneserów, mikserów, blagierów.

Cenzor „atmosferyczny” decyduje: Cześć napisac powieść? To chroni cię Bóg przed wyrażeniem poglądu na świat z filozoficznego stanowiska. Ma być ciąg migawek z „życia”, to znaczy z życia w jego najpiętszej, spektakularnej, rudymentalnej warstwie. Wiersz? Ani się waz co o własnym odczuciu piękna. Tyko szarzyzna, rozdarcie, autodegradacja, a nie zapomnij o osceenach! Dramat? Przepadłeś, jeśli tam będzie scena i kurtyna. Kukły już wyszły z mody, motocykle także, ale wchodzą maszkaronowate maski, a co do akcji, to najlepiej niech nie będzie wiadomo o co cała rzecz się toczy. To zawsze jest „osona” metafora. Bądź też przygotowany, że reżyser tam, gdzie umieszisz żyrandol, zamaluje ci bęben maszyny losującej Toto-Lotka.

Głos rozsądku w sprawach sztuki traktuje się dziś jak dziwactwo. Nastąpiło przestawienie o sto osiemdziesiąt stopni. To, co jest sprawdzone wiekami kultury, zrośnięte z artystycznym działaniem, bo występuje w roli zasadniczego tegoż działania warunków, uchodzi za anachronizm. Sens — za starzyzną. Klania się dziewiętnasty wiek. Za wbrew intencji wyrażony komplement.

Współczesna powieść, by zostać powieścią nie potrzebuje cofać się do ubiegłowiecznych wzorców formalnych. Chociaż w tym starym naczyńiu ile się jeszcze zmieści! Nowe problemy, więc nowe techniki pisarskie? Zgoda. Tylko nowość w literaturze to nie nowy układ cyfr na pocztowym datowniku. Nie wszystko, co inne, jest nowe. A przede wszystkim nie jest do przyjęcia stan rzeczy, że odpada prawdziwa wartość, kiedy nie wchodzi w przyjęty literackim konwenans obyczaj formalny. Tekstom Czechowicza przyprawmy interpunkcję i duże litery — co się zmieni? Zajęcie dla zecerni. Bo nie zmieni się poezja. Nie sądzmy też, że powstały z grobu Balzac nie pozbywając się gęsiego pióra nie potrafiłby dać obrazu naszej rzeczywistości z jej komplikacjami, przyspieszeniami, stressami, nerwicami i znajomościami w warsztatach naprawy Fiatów.

Dokończenie ze str. 1

Nieco później pojawił się na ekranie polski „Robert i Bertrand” z Eugeniuszem Bodo i Adolfem Dymszą. Przez cały okres PKWN kina „obracali” ośmioma filmami fabularnymi produkcji radzieckiej, kilkoma polskimi sprzed wojny i kilkoma amerykańskimi. Repertuar uzupełniały dokumenty wojenne i — od jesieni — kolejne wydania kroniki filmowej. Ale skromny wybór nie zrażał widzów, którzy po kilka razy oglądali te same obrazy, przepłacając za bilety oferowane przez „koników”. Kina cieszyły się niestychającym powodzeniem, ale ponieważ były tylko trzy w prawie 100-tysięcznym mieście, nie stanowiły jeszcze żadnej konkurencji dla teatru. Można nawet przypuszczać, że gdyby funkcjonowało ich, jak przed wojną, siedem, nie uszczupliłoby to widowni żywej sceny. Ludzie zlaknieni byli kontaktu „twarzą w twarz”, a ponadto w ówczesnym Lublinie mogli oglądać upersonifikowany olimp międzywojennej sceny polskiej.

Kina szybko otwierano także w innych wyzwolonych miastach Polski lubelskiej: w Zamościu, Chełmie, Białymstoku, Przemysłu, Rzeszowie, korzystając często z aparatury wypożyczonej albo подарowanej przez wojska radzieckie. Do końca roku uruchomiono około 40 przybytków X muzy.

Operatorzy Czołówki kręcili dokumenty z życia wojska, wykonywali zdjęcia na froncie, ale już wtedy dyskutowali problem „filmu użytecznego”: społecznie, ideologicznie, kształtującego świadomość zbiorową w duchu demokracji. Po przyjeździe do Lublina grupa ta zaczęła wydawać kronikę filmową i dłuższe reportaże.

Docierając do zapadłych wsi i małych miast, wyświetlając filmy w remizach, stodółach i pod gołym niebem, kina objazdowe okazały się wyjątkowo skutecznym środkiem propagandy. Co składało się na wyposażenie takiego kina, jakie przygody miewała jego załoga i jakiego rodzaju ambicje można było realizować przy pomocy ambulansu? — odpowiedź na te pytania poszukajmy we fragmencie biografii Zenona Sikorskiego.

Pochodził spod Lublina, w 1939 roku brał udział w obronie Warszawy, a później walczył w jednym z oddziałów Armii Krajowej w powiecie biłgorajskim. Zaraz po wyzwoleniu Lublina zgłosił się do Wojska Polskiego, skąd razem z czterema kolegami skierowany został do Resortu Informacji i Propagandy, gdzie otrzymał przydział do brygady kina objazdowego jako kierownik grupy złożonej z dwóch ilustratorów resortu, szofera, kinomechanika i trzech ludzi eskorty. Oprócz projektora, taśm, ulotek propagandowych miał do dyspozycji 60 płyt gramofonowych. Na jednej z nich, z nagraniami piosenek A. Harrisa: „Zapomniana uliczka” i „Piosenka o mojej Warszawie”, widniała metryczka takiej treści: „Staraniem Związku Patriotów Polskich w ZSRR przez Komitet do Spraw Sztuki przy RKL ZSRR (nr GRK 570/44)”. Podkład muzyczny był dziełem „Państwowego Jazzu ZSRR pod kier. A. Rosnera w fabryce aprelewskiej”.

Sikorski mógł mieć wówczas nie więcej niż 25 lat, pochodził ze wsi, w której prawdopodobnie nie oglądano dotąd filmu, więc zrozumiałe, że pierwszy wyjazd zarządził w rodzinne strony, do Pawłowa. W wywiadzie prasowym wyznał po latach: „Chciałem się pochwalić samochodem, mundurem,

Program rozgłośni lubelskiej był wcale urozmaicony. Oto typowa oferta dnia, przepisana z gazety:

Godz. 8: Komunikat. Przegląd „Rzeczypospolitej”. Artykuł wstępny „Rzeczypospolitej”. Przegląd „Gazety Lubelskiej”. Wiadomości polityczne. Program na dzień dzisiejszy.

Godz. 12: Wiadomości polityczne. Kronika lubelska. Z ziem wyzwolonych. Korespondencja z frontu. Aktualia lubelskie. Felieton aktualny. Rectial fortepianowy profesora Jerzego Gache.

Godz. 17: Przemówienie prezydenta miasta, ob. Kadury. Reportaż z walk w Warszawie. Problemy i wydarzenia dnia. Wiadomości polityczne. Skrzynka poszukiwania rodzin. Pieśni i piosenki.

Godz. 18.30: Przegląd wojskowy i polityczny. Korespondencja z frontu. Z ziem wyzwolonych. Ogłoszenia. Kwadrans literacki — felieton J. Wasowskiego „Zmiana przekonania”. Poemat tragicomiczny J. Minkiewicza „Dzieje pewnej komisji”.

Godz. 19.45: Przegląd wojskowy i polityczny. Wiadomości polityczne. Z prasy zagranicznej. Muzyka taneczna.

Godz. 20.30: Audycja dla ziem okupowanych. Skrzynka poszukiwania rodzin.

Nietrudno zorientować się, że program ten, jak się rzekło — typowy, zbudowany wokół trzech zasadniczych tematów: politycznego, wojennego i kulturalnego. Najwięcej bodaj kłopotów realizacyjnych przysparzał ten ostatni: chałupnicze warunki studia ograniczały produkcję do solowych czy kilkuosobowych występów, a stały niedobór płyt gramofonowych i wydawnictw z literatury polskiej uniemożliwiał wyraźniejsze poszerzenie repertuaru. Redakcja wielokrotnie ogłaszała w prasie chęć nabycia lub wypożyczenia wspomnianych wartości. Nie wykluczone, że jej przedstawiciele zaglądali do księgarni — antykwariatu „Lamus” przy ul. Świętoduskiej (dziś: Hanki Sawickiej), który specjalizował się co prawda w handlu podręcznikami szkolnymi, ale posiadał na składzie i wiele innych książek.

Następnego dnia po uruchomieniu rozgłośni radiowej odbyło się zebranie organizacyjne muzyków, a dzień później, 12 sierpnia, kiedy do Lublina dotarła wiadomość, że czołgi amerykańskie znajdują się 75 km od Paryża, w pałacyku przy ul. Radziwiłłowskiej 9 (obecnie: Dymitrowa) spotkali się literaci: lubelscy, lwowscy, warszawscy, wileńscy, z Chełma, Lubartowa i Nałęczowa. Po słowie wstępnym Wincentego Rzymowskiego i dyskusji wybrano komitet organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich z tymczasową siedzibą w Lublinie, przy Krakowskim Przedmieściu 62 oraz postanowiono urządzić wieczór poezji polskiej 1939—1944. A działło się to wszystko w budynku zbudowanym przez Niemców jako Haus der NSDAP, o wnętrzach przypominających zmysł estetyczny Tyrolczyków albo też bywałców bawarskiej gospody. W podobnie symbolicznej sytuacji przebywali wówczas filomowcy, zainstalowani w luksusowej willi Odilo Głobocnika, dowódcy SS i polkiej na dystrykt lubelski. Dom przy Radziwiłłowskiej, tak mocno związany z początkami środowiska literackiego Polski Ludowej, służący wielu známym dziś pisarzom i krytykom jako hotel — już od dawna nie istnieje.

„Apollo” i „Pszczółka”

uzbrojeniem, kinem wśród swoich. Cieszyliśmy się wszyscy”.

Niemal równocześnie z kinofikacją uruchomiona została radiostacja Polskiego Radia, popularnie zwana „Pszczółką”. Nadajnik o mocy 10 kW, studio i inne urządzenia mieściły się początkowo w wagonie kolejowym, dostarczonym wraz z wyposażeniem przez władze radzieckie. Z czasem studio przeniesiono do budynku przy ul. Chopina oddając dziennikarzom do dyspozycji duży pokój o ścianach obitych kocami (izolacja akustyczna), w którym znajdował się stół z prostym mikrofonem węglowym, radioodbiornik, dwa krzesła i fortepian. Pierwszym tekstem, który przekazała światu „Pszczółka”, był Manifest PKWN, odczytany przez spikera, Tadeusza Chabrosa, notabene późniejszego redaktora naczelnego Lubelskiej Rozgłośni PR.

Oddziaływanie społeczne radia było początkowo bardzo ograniczone. Już w 1939 roku Niemcy skonfiskowali niemal wszystkie odbiorniki, będące własnością Polaków, i pod karą śmierci zabraniali słuchania radia. Kto nie miał specjalnego zezwolenia, ten nie mógł posiadać aparatu także w drugiej połowie 1944 roku. „Pszczółka” nie działała jednak sobie a muzom, jako że równocześnie rozwijano sieć radiowęzłów. Pierwszy zainstalowano w Lublinie, następnie — w Białymstoku, Biłgoraju, Hrubieszowie, Stalowej Woli, Radzyminie, Zamościu i 14 innych miastach.

Dyskusja zaczęła się zatem od wysokich progów, bo wytyczone zostały dla w obronie kultury duchowej. W tej sferze największe zdecydowanie wykazał miejscowy kanonik. Przyjrzał się planowi, pokazał rozległy teren, oznaczony osobnym kołorem i oznajmił:

— My się absolutnie nie zgadzamy, żeby obok kościoła projektować tak rozległy parking. To by zakłóciło spokój nabożeństw.

Pani architekt Dybałowa i pan Majewski przyjęli pretensję ze spokojem i odrzekli, iż wcześniej już podjęto działania i parking nie będzie. W tej rozgrywce ustalony został remis. Ksiądz wyszedł usatysfakcjonowany, zatwierdzając rzecz szybko, prywatnie nieomal i skutecznie.

Osobliwy ton „prywatnych” rozmów pomiędzy innymi zainteresowanymi a autorami planu wydawał się być przesadzony jako metoda rozmowy. Przy rozwieszonym planie powstał tłok, a wymiana zdań prowadzona prawie szeptem.

Nigdy bym nie przekazał tej relacji, gdyby tak pozostało. Musiałem więc zaproponować rozmowę publiczną, gdyż obwieszczenie głosiło, że tego dnia, trzeciego lipca, odbyć się miała dyskusja pomiędzy mieszkańcami Nałęczowa a autorami „Miejscowego planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego”.

Po propozycji podeszła do mnie wielce zaafektowana architekt Dybałowa i oznajmiła, że co do

Kilka osób orzekło, iż nowe trasy spacerowe biegną wśród terenów nadrzewionych i ogrodów, a ich budowa zniszczy należycie zieloną, bez której nie ma uzdrowiska.

Ktoś niemal wyśmiał plany budowy osiedla mieszkaniowego na ziemiach, gdzie gleba jest znakomita, a usytuowanie ogrodów działkowych obok na znacznie gorszych gruntach. Architekt Majewski odrzekł, że on też żałuje, ale w ten sposób o bok sanatorium znajdują się ogrody, a nie bloki.

— Bez pozwolenia nikt nie zbuduje domu — skomentowała jedna z kobiet fakt wyznaczenia działek wokół willi „Brzozy”.

— O tym nie mówmy — zaproponował architekt — bo ile w Nałęczowie powstało nielegalnych domów...?

W czasie dyskusji krążył po sali zeszyt, w którym mieszkańcy wpisywali uwagi o planie rozbudowy uzdrowiska. Oto niektóre wpisy:

„W miejscu, gdzie jest bujna zieleń i drzewa, mają stać budynki, a na miejscu, gdzie obecnie są budynki ma być zaprowadzona zieleń”.

„Rozbudowa Nałęczowa, przedstawiona na planie przekształca tę miejscowość w jakiś nowy konglomerat — zniknie klimat, który ściągają kuracjuszy — zmieni obecny charakter”.

„Jak najmniej nowej zabudowy i dróg, kosztem i tak już okrojonych ogrodów i parków prywatnych”.

Trwały rozmowy. Jedna z kobiet zapytała, wskazując na plan: — Ja tu mieszkam, ale nie ma mojego domu, więc gdzie ja będę mieszkała?

Zapotrzebowanie społeczne na leczenie typu kardiologicznego jest duże i trzeba było znaleźć drogę rozwoju miasta. Dlatego powstało przy Politechnice Warszawskiej studium możliwości rozwoju Nałęczowa. A rok temu uchwałą WRN w Lublinie należycie zespół uzdrowiskowy, powstały z tych prac, został oficjalnie ustanowiony. Nałęczów będzie się rozwijał, lecz następny zespół sanatoryjny powstanie w Celejowie, gdzie również stworzy się ok. 2 tys. miejsc dla kuracjuszy. Wąwolnica będzie ośrodkiem administracyjnym i obsługi turystów, by nie robili oni w Nałęczowie nadmiernego tłoku.

Są jeszcze inne powody, dla których z miasteczkiem architektki obchodzić się muszą jak z jajkiem. Pierwszy to — statut uzdrowiska, drugi — obszar ochrony górniczej i trzeci — strefa ochrony konserwatorskiej. Trzeba je respektować i są one ograniczeniami korzystnymi i dla architektów i dla miasteczka.

W przypadku pierwszym idzie m. in. o wyprowadzenie budownictwa mieszkaniowego ze strefy sanatoryjnej, o zakaz hodowli zwierząt gospodarskich, o zwiększenie opiniodawczych możliwości naczelnego lekarza, o likwidację zakładów przemysłowych itp. Statut stwarza największe zagrożenie dla prywatnych interesów mieszkańców, którzy znaleźli się w strefie sanatoryjnej. Od niego nie ma odwołania i w przyszłych latach Nałęczów zmieni się z miejscowości wypoczynkowej w kurort. Z planów wynika, że strefa uzdrowiskowa w stosunku do obecnej zostanie znacznie rozbudowana. Ograniczono więc nie tylko liczbę mieszkańców, ale i obszar budownictwa jedno- i wielorodzinnego.

— Gdyby w Nałęczowie w tej chwili wyznaczyć tysiąc działek budowlanych, to tysiąc by się sprzedało — powiedział A. Dominko. — Ale do tego dojdzie nie może i dlatego wyznaczaliśmy około 100 nowych działek, głównie zamiennych, dla mieszkańców.

Poza tym zaprojektowano na wschodnich terenach budowę osiedla mieszkaniowego dla osób z obsługi uzdrowiska ale i tak blisko połowa tych ludzi dojeżdżać będzie do pracy z Wąwolnicy, gdzie usytuuje się gros tzw. mieszkaniówki.

Oto dlaczego wiele osób nie znalazło swych domów na nowym planie Nałęczowa.

Zawierał on natomiast kształty czterech nowych sanatoriów, wielkiego parku w południowej części miasta, dużego domu zdrojowego w centrum, linie nowych tras spacerowych i bocznych dróg dojazdowych. Uzdrowisko ma liczyć 2200 kuracjuszy, a mieszkańców stałych ma być nie więcej niż 5 tysięcy. Wszystko, co znajdzie się poza strefą sanatoryjną, będzie jej tylko służyć. Wydawałoby się, że to racja najwyższa. Chodzi wszak o chore ludzkie serca, a rozwój cywilizacji nie uzdrawia nam życiodajnych „pomp”.

Istnieje jednak druga racja — ochrona ziemi. Nałęczów leży na bardzo dobrych glebach i stąd troska mieszkańców o swe ogrody i sady. Nowy plan przewiduje zabranie 85 hektarów wysokiej klasy ziem pod budownictwo lecznicze. Co jest więc ważniejsze? O tym zdecyduje się na najwyższym szczeblu krajowej władzy.

Losy nałęczowskiego planu wazyły się długo. Nikt nie chciał sam brać odpowiedzialności za wytyczenie rozwoju miasta w przyszłych latach. Dyskusje przeciągały się, aż w końcu zdecydowano ogłosić konkurs na nowy kształt uzdrowiska.

Konkurs potrzebny był po to — wyjaśniał architekt Majewski — by w gronie fachowców od spraw planowania przestrzennego, przy dialogu z władzami Nałęczowa, województwa, ministerstwa zdrowia i zjednoczenia Uzdrowiska Polskie dojść do jednoznacznego stanowiska w sprawie chłonności Nałęczowa, możliwości lokalizacji dalszych obiektów sanatoryjnych. Zdania były podzielone, a dyskusje wcześniejsze na szczeblu lokalnym do niczego nie prowadziły. Wprost przeciwnie — zaskakiwano planistów różnymi lokalizacjami i propozycjami. Liczni moi kontrahenci chcieli w Nałęczowie mieć sanatoria, różnymi drogami próbowali to zatwierdzić. W takich wypadkach plan się nie liczył.

Wreszcie w szerokim gronie ustalono poglądy na temat, jaki może być Nałęczów. Powstała opinia wielu ludzi, a nie tylko autora planu, dyrektora uzdrowiska, czy innego pana Iksa. Osiągnięto pierwszy cel konkursu — ustalenie optymalnej wielkości miasta.

Po drugie: chciano uzyskać od różnych środowisk urbanistycznych różne warianty rozmieszczenia programu i jednocześnie nie zniszczenie walorów Nałęczowa, lecz znalezienie sposobów ich odbudowy, rekonstrukcji, czy nawet rozwoju. Z tym nie uporadko się tylko lubelskie środowisko urbanistów. Swoje propozycje przedstawił planiści z wielu miast — m.in. z Warszawy, Krakowa, Koszalinu — przysłano osiem prac z całej Polski, w tym dwie z Lublina. Każdą z nich opracowywał zespół ludzi.

Pierwszych nagród nie przyznano. — Praca konkursowa nigdy nie jest w stanie rozwiązać wszystkich elementów na jednakowym poziomie tak, aby całość była znakomita — wyjaśnił architekt K. Majewski. — W każdej były pomysły genialne i niedopracowane.

Po ocenie sądu konkursowego wybrane zostały ze wszystkich prac fragmenty, które wnosyły coś znaczącego. W ten sposób narodził się plan szczegółowy zagospodarowania przestrzennego Nałęczowa, który dyskutowano dnia 3 lipca br. z mieszkańcami miasteczka.

W pracowni „Południe” ułożono nawet rymowany poemat o powstawaniu planu. Czyżby zatem poezja miała być odpowiedzią na pytanie: kogo naprawdę boli serce o Nałęczów?

Kogo boli serce?

planu, to informacji udzielać można dopiero po uzyskaniu zgody władz Biura Planowania Przestrzennego w Lublinie... Są chwile, gdy dla równowagi ducha człowiek udaje, że zdziwienie, które właśnie przeżywa, jest ostatnim stanem, jaki może mu się w takiej sytuacji zdarzyć...

Tak właśnie zaczęła się dyskusja w gmachu Urzędu Miasta i Gminy Nałęczów stojącym tuż obok wejścia do parku sanatoryjnego, w sali na piętrze, gdzie zebrało się z jednej strony kilkudziesięciu mieszkańców miasteczka, z drugiej — kilku architektów z pracowni „Południe” BPP; przedmiot kontrowersji — kolorowo wyrysowany plan na którym dotychczasowy Nałęczów przemieniał się w wielki kurort, wisiał na uboczu.

Miasteczko na razie nie jest uzdrowiskiem, jak to się mówi „całąębą”. Owszem leczy się tu wielu ludzi i z dobrymi skutkami, ale potencjalnie istnieje możliwość znaczącego eksploataowania daru natury, jakim jest klimat.

Coś tak tajemniczego znajduje się między zielonymi wawozami, że nawet bardzo zbuntowane i skolatanie ludzkie serca nabierają chęci do dalszego działania na rzecz posiadaczy. To „coś” nie jest obce klimatologom laikowi wystarczyć może wiadomości że w wilgotności powietrza również tkwi tajemnica — wilgotności ani za dużej, ani za małej, w sam raz. Są tu przestrzenie, gdzie ciągi wyjątkowo lecznicze hasają jeszcze nieprzydatnie dla chorych ludzi, ale gdyby w tych miejscach powstał sanatorium, a nawet nie jedno, przyłączyłoby się naturę tego najlepszego uzdrowiciela, do pomocy lekarzom.

Nałęczów posiada niewykorzystaną „pojemność” uzdrowiskową. Plan zawierał projekt dopełnienia pustych miejsc. Serca nałęczowian zaczęły jednak bić niespokojnie, gdy przyszło do jego omawiania.

Plan przyjęty w miasteczku niechętnie: stworzyła się wobec lubelskich architektów nałęczowska opozycja. Telefony alarmowały redakcję, by pomóc w obronie przed zamierzeniami, które zmieniały Nałęczów w jakieś monstrum okropne.

Już na sali jedna z mieszkanki oznajmiła: — Z tego, co tu widać, powstanie olbrzymi kurort i duże miasto. Zginie charakter Nałęczowa. I to przestanie być Nałęczów.

Pani doktor Janik, naczelną lekarz uzdrowiska, zmiądzzyła architektów stwierdzeniem, że jako medyk wie, co chorzy lubią.

— Chorzy na serce — powiedziała — muszą mieć przestrzeń. Nikt by się nie odważył spacerować wśród ogrodów. Oni chodzą na pola. Jeśli mamy zamknąć Aleję Lipową dla ruchu kołowego to wystarczy, Ulica Prusa też jest obecnie piękną aleją spacerową, jest tam cisza i spokój. Po co tworzyć z niej nową trasę? Nie wydaje się to słusznym, tak samo jak lokalizacja przy niej szkolnych obiektów sportowych Chorzy muszą mieć spokój. Owszem, młodzież to cenna rzecz, ale nie wiem, czy boiska przy każdej szkole są odpowiednim rozwiązaniem. Można by je zlokalizować przy jednej, a nie budować przy obu oddzielnie i jeszcze między nie wprowadzać trasę spacerową.

Autorka planu, architekt Dybałowa, zapytała w odpowiedzi, czy pani doktor reprezentuje w tej opinii uzdrowisko, czy wypowiada się prywatnie. Oznajmiła, iż była to wypowiedź prywatna, zakończyła tę część wymiany zdań.

Zamknięcie Alei Lipowej dla ruchu samochodowego (obecnie głównej drogi dojazdowej do centrum) zostało skrytykowane przez mężczyznę nastawionego ekonomicznie. Zapytał on o sens takiego planowania, które obok szerokiego deptaka przewiduje równoległą ścieżkę spacerową nad pobliską rzeczką oraz budowę szosy dojazdowej od tyłu posesji przy Al. Lipowej. Trzeba będzie zbudować w każdej posesji nowe podjazdy.

— Czy to nie strata pieniędzy? — zapytywał ów mężczyzna, który tam mieszkał i wiedział, co mówi.

W połowie spotkania przybyła reprezentantka Urzędu Górniczego. Zapytała ona architektów, czy w planach uwzględniono strefę ochrony źródeł leczniczych, na co otrzymała odpowiedź, że owszem. Dziwny dialog, bo plan powstawał zaczął półtora roku temu, a o ochronę źródeł zapytano jakby pierwszy raz i w Nałęczowie, choć Urząd Górniczy i pracowni architektów znajdują się w Lublinie.

Zebrań przedłużało się. Rosła liczba wpisów w zeszyt i pretensji. Kierownik pracowni „Południe” K. Majewski, wzdychał:

— Żaden planista przestrzeni wszystkim nie dogodzi. To okropna rola.

Najcierpliwszy okazał się rzeźbiarz Pudełko, który czekał do końca, by móc pokazać dziennikarzowi — już w terenie — jak nierozsądnie zaprojektowano drogi w pobliżu jego domu przy ul. Głęboźnica. Towarzyszył mu znajomy, któremu artysta wypominał:

— A pan jakżeś był kierownikiem, to też żeś pan niewiele dobrego zrobił...

Rzeczywiście, planowany układ dróg po wizji lokalnej nie wydawał się być najszcześliwiej wytyczony...

W kilka dni później odwiedziłem pracownię „Południe”. W jednym z pokoi zastałem architektkę Irenę Dybałową, pochyloną nad planem i rozrysowującą na nowo układ dróg koło Głęboźnicy. Zeszyt z uwagami leżał obok.

Miło być świadkiem rezultatów troski mieszkańców o losy swojej siedziby. Zwłaszcza, gdy przyświecały troskaniu cele wysokie i szczytne. Obok tak sprecyzowanych celów głównych znalazły się w zeszytce wpisy jak np.:

„Rozumiejąc potrzebę przebudowy, nie stawiam przeszkód, ale jednocześnie pragnę utrzymać moją małą działkę łącznie z domem”.

„...takie rozwiązanie wydaje mi się marnowaniem terenu w bardzo atrakcyjnym punkcie. Wnoszę o zmianę projektu i dopuszczenie na mojej działce budowy drugiego domu mieszkalnego”.

Jeszcze w czasie dyskusji architekt Majewski powiedział:

— Indywidualne, prywatne interesy na terenie Nałęczowa są faktycznie poszkodowane.

Do pracowni „Południe” przyszedłem szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak musi się dziać.

Architektki — jak gdyby usłyszeły to samo, co dziennikarz w prywatnych rozmowach mieszkańców: „Żeby zmienić ten plan, nie możemy mówić o naszych działkach i domach, trzeba mówić o ochronie zabytków i zrujnowaniu klimatu” — zaproponowali szczegółowe omówienie koncepcji rozbudowy Nałęczowa. Dlatego Aleksander Dominko wywody rozpoczął od planu ogólnego zagospodarowania przestrzennego Nałęczowa, nad którym pracował od 1964 roku.

— Proces projektowania nie jest dorywczy — powiedział — to jest długoplanowe działanie, a przynajmniej powinno być długoplanowe. I w tym przypadku szczęśliwie się złożyło, że właśnie jest takie, a nie zawsze bywa...

Już w roku 1964 założono ograniczenie wielkości Nałęczowa.

— Wiemy, że chorzy na serce — mówił A. Dominko — potrzebują spokoju, ciszy, wiele zieleni i nie służy im duże skupisko. Uciekają od miasta do małych miejscowości. Czynniki klimatyczne w Nałęczowie sprzyjają leczeniu sanatoryjnemu, ale występują na ograniczonym terenie. Wszliśmy z zabudowa sanatoryjną w miejsca klimatycznie najwłaściwsze. Kolejna uchwała o ochronie użytków rolnych znów ścieśliła tereny pod zabudowę. Doszła jeszcze zmiłana poglądów konserwatorskich na wartość architektury i drzewostanu z przelomu XIX i XX wieku i znów kazano nam to wprowadzić korekty.

OKO -lice sztuki -ki

BYLEM niedawno w Białymstoku — po bodaj trzech latach nieobecności w tym mieście, z którym pierwszy kontakt nawiązałem w 1963 roku, poznając kilku tamtejszych malarzy, m. in.: Jerzego Lengiewicza, Dorotę Labanowską i Mikołaja Wołkowyckiego. Uderzyło mnie wówczas, że tym skromnym leczebnie i mało znanym w kraju środowisku plastycznym istnieją, ujawniają się publicznie wcale nie małe ambicje. Czas szybko pokazał, że nie były to zubożone chęci, gadania kompensujące kompleksy związane ze statusem prowincjonalnych artystów, którzy spełnień szukają w sferze marzeń.

Przykład Białegostoku

Już w 1965 roku Białystok uruchomił ogólnopolskie plenery w Białowieży (malarzkie) i Hajnówce (rzeźbiarskie), aby dzielić lat później zafundować sobie stałe galerie sztuki współczesnej, umieszczone w specjalnie na ten cel wybudowanych obiektach w kształcie rotundy, w których zgromadzono pokaźną część prac powstałych na wspomnianych plenerach lub zakupionych przez Biuro Wystaw Artystycznych, nieco wcześniej zrealizowane w sympatycznym budynku Arsenalu przy pałacu Branickich. Na samym początku otwarto galerię malarstwa w czerwcu 1975 roku — rzeźby, a ostatnio w kwietniu bieżącego roku, grafiki, którą właśnie obejrzałem sobie dokładnie podczas niedawnej wizyty. W tym trybie białostockie BWA stało się posiadaczem pierwszej w kraju i bodaj, jak dotąd, jedynej stałej galerii plastyki współczesnej; o ile się nie myli, pozostałe placówki wystawiennicze tego rodzaju nie do-

robiły się jeszcze czegoś tak imponującego.

Wokół tego faktu można by rozwinąć jakąś wdzięczną refleksję, tożsąca z listem gratulacyjnym pod adresem władz, czy Mikołaja Wołkowyckiego, szefa białostockiego BWA, który zostawiwszy rękawiczki w magazynie rzeczy dziś jakby nieprzydatnych w publicznym działaniu, od lat wykonuje dobrą robotę na rzecz wprowadzenia sztuki w obieg społeczny. Spójrzmy jednak na sprawę pod innym kątem.

Otóż rokrocznie organizuje się w Polsce kilkadziesiąt większych czy mniejszych plenerów plastycznych. Mamy plenery międzynarodowe, ogólnopolskie, miejskie, wiejskie, gminne, zakładowe i administracyjne, nawet — niestety — ludowe. W imprezach tych uczestniczą artyści wybitni, znani, mierni i zupełnie nieznanymi, w sumie chyba z 1000 osób korzysta latem (zimną też ap. w Zamojskiem) z tej formy instytucjonalnego mecenatu, rewanżując się patronom pod warunkami w postaci prac powstałych na plenerach „na ogół w proporcjach: jeden człowiek — jeden obraz, albo też oferując im to i owo do sprzedaży. Tym sposobem krajowe BWA i różne zakłady

pracy zdążyły zgromadzić wcale pokaźne i wartościowe zbiory sztuki współczesnej. Chwała więc im i rozdrosi! Niezupetnie sak.

Tak się bowiem składa, że nasi mecenasi mają pieniądze, ale nie posiadają albo odpowiednich pomieszczeń, albo pomysłu. W rezultacie obrazy, grafiki czy rzeźby, które trafiły w ich ręce, popadają w magazynowy letarg, lub też krążą w zestawach po okazjonalnych i na ogół klepsko wyposażonych miejscach o charakterze, powiedzmy, wystawowym, jako to: kluby „Ruchu”, świetlice przykładowe, korytarze i inne pakamery. Czasami trafiają też do gabinetów urzędowych, a nawet do mieszkań prywatnych poniekąd tych osób, czemu nie towarzyszy jakiś inwentaryzacyjny zapis, chroniący je przed nabraniem cech rzeczy prywatnych. Nawet dzieła wybitnych twórców nie są ponadto konserwowane.

W tej smutnej sytuacji jedynie BWA białostockie potrafiło znaleźć rozwiązanie zgodne z interesem kultury narodowej i ambicjami artystów. Instytucja posiada około 600 obrazów, grafik, rzeźb i tkanin, zakupionych od twórców uczestniczących w plenerach, lub wystawiających indywidualnie w Białymstoku, rozumiałe więc, że tych wszystkich wartości nie może eksponować we wspomnianych galeriach, bo nie z gumy one, ale z metalu i drewna.

Stanisław Piotr Gaszyński

„Kochani ludożercy nie zjadajcie się Dobrze bo nie zmartwychwstaemy Nępreide”
(T. Różewicz — „List do ludożerców”)

nie bójcie się przyjaciele
nikomu i żadnemu z osobna
nie zagrażam w niczym
gwizdę koncertowo
na te wasze
koterie i towarzystwa
— towarzysze moi ewani
przyjaciele odpowiednich
bogów wspaniałych
ludzi i w ogóle
kogo należy
— nie bójcie się
wielec
małym duchem
nie zagrażam
wam w niczym
nie uchylę rąbka...
— wasze tajemnice puste
dla mnie równie jak
katedry waszych bożków
i bożyszcy
— nie bójcie się
nie zagrażam
najmniejszej kropli
waszej wódki za darmo
ani waszym znakom
srebrnym złotym i firmowym
ani najmniejszemu nawet
listkowi z waszych
niebotycznych laurów
— nie bójcie się przyjaciele
daruję wam
— wszystko darmo! —
całą wielkość szlachetności
i zawiść zostawiam
psychikom waszym
może nawet
sumieniom
— w niczym wam
nie zagrażam
wspaniali przyjaciele
nie mam dla was
taniach kpinek
ni efektownej pogardy
czy wrednej zazdrości
— nie bójcie się
przyjaciele

NIE bez wyrzeczeń i wytrwałości graniczącej z uporem — w najlepszym rozumieniu tego słowa — Tadeusz Franciszek Ciechoński (urodzony w 1926 r. w miejscowości Trawniki koło Lublina, od wielu lat zamieszkały w Warszawie) uzyskał uprawnienia profesjonalnego iluzjonisty. Pierwsze kroki na estradzie stawiał w połowie lat pięćdziesiątych, współpracując od początku z rutynowanym — dziś już nieżyjącym — mistrzem iluzji „Visconti” (Sylwester Kamaszyn), którego uważa za swego pierwszego nauczyciela.

Obecnie niemal we wszystkich regionach Polski, a także w kilku innych krajach — Związku Radzieckim, Jugosławii, Bułgarii, Grecji, Stanach Zjednoczonych Ameryki, Kanadzie, Niemieckiej Republice Demokratycznej i we Włoszech — znany jest jako prestidigitator „Tadeusz Watson”. Pierwszy człon pseudonimu scenicznego nie tyle pozostawił ze swej metryki urodzenia, ile przybrał na cześć drugiego i zarazem najważniejszego dlań nauczyciela, jednego z wirtuozów polskiej manipulacji, czyli iluzji zręcznościowej, Tadeusza Grabowskiego („Remerbi” — warszawski iluzjonista z najwyższą kategorią estradową „S”, od kilku lat na emeryturze), któremu głównie zawdzięcza, że do dziś czynny jest w zawodzie. Pochodzenie drugiego członu jest proste, prowadzi bowiem do jego ulubionych powieści sensacyjno-kryminalnych angielskiego klasyka tego gatunku, Arthura Conan Doyle’a. To przecież jeden z głównych bohaterów tych powieści, doktor Watson, przewidywał się walczyć do rozwijania wielce skomplikowanych zagadek. I jeśli prawda jest, że w każdym z nas drzemie tropiciel zagadek, to nie można dziwić się, że postać dr. Watsona zafascynowała przed laty T. F. Ciechońskiego?

Czyż tricki z dziedziny iluzji nie są enigmatyczne? Oczywiście, i to w większym stopniu niż można przypuszczać. A podczas ich demonstrowania zdarzały się niekiedy arcyzabawne reakcje widzów. O jednej z takich opowiadał mi Tadeusz Watson. Otóż w połowie lat sześćdziesiątych przez pewien czas występował on z zespołem estradowym w Lubelskiem. W prezentowanym w ramach całej imprezy artystycznej numerze iluzji wykonywał m. in. trick kontaktowy (to znaczy z udziałem widza jako osoby asystującej), w efekcie którego z rąstych dłoni pojawiały się błyskawicznie sztuczny gad (tak sam mówił: „Zamiast przydługiego gada, wieczarowałem gada”), przypominający do złudzenia żywego węża. Dodatkowym i zupełnie nieoczekiwanym rezultatem tego tricku było tak ogromne przerażenie asystującego iluzjonistę widza, iż gdy tylko ujrzał groźnie wyglądającego węża, schował się ze sceny ucieczką.

Jesienią 1965 r. w Lublinie Tadeusz Watson występował z recitale iluzji dla dzieci pt. „Czarodziej-

WATSON

Marek Zdrojewski

Z UŚMIECHEM SFINKSA



ska podróż”, w którym też pokazywał m. in. trick z magicznym wężem. Jednak w metropolii województwa żadne dziecko na ten rzeczywiście niezwykły widok nie zareagowało strachem.

Raz i ja miałem możliwość zobaczenia tego tricku Watsona. Było to 27 maja 1966 r. w sali Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie przy ul. Narutowicza 4, tuż po otwarciu ekspozycji pod nazwą „Czechowicz w oczach dziecka”. Swobodną oprawę otwarcia wystawy stanowił występ dwójga aktorów, Aury Szymanowskiej i Tytusa Wilskiego, oraz iluzjonisty, Tadeusza Watsona, który tym chętniej zademonstrował trick z wężem, że wśród widzów znajdował się także znany mu dobrze główny księgowy jednego z miejscowych przedsiębiorstw. Po występie Watson nie bez uśmiechu zażartował, iż widział, jak ten księgowy chwycił się w pewnym momencie za kieszeń. Z tego wniosek, że i w iluzji mogą tkwić złusze.

Kilka lat pracy Tadeusza Watsona w Jugosławii, wnosząc z tamtejszych recenzji prasowych, było nieprzerwanym pasmem jego sukcesów artystycznych. Dopracował się tam niejako swego życiowego numeru po nazwie „Magiczny strip-tense” w którym występuje z asystentką o imieniu Halina. Numer ten cieszy się niemalym powodzeniem u widzów i takimż wzięciem u impresariów. Dowodem faktu, że fragmenty wymienionego numeru „Duo Watson” 7 stycznia 1979 r. można było obejrzeć na małym ekranie w czasie emisji siódmego odcinka filmu serijnego „Układ krążenia”, w reżyserii Andrzeja Titkova. Zresztą nie pierwszy raz Watson występował przed kamerami Telewizji Polskiej. Być może telewizywnie pamiętają, iż wcześniej grał jedną z ról w zekranizowanej wersji pełnej humoru powieści dla dzieci pt. „Karambuk” Ludwika Jerzego Kerna.

Wobec tego i na podstawie specjalnego porozumienia z odpowiednimi instytucjami utworzono stałe galerie: w liceum ogólnokształcącym nr 6 w Białymstoku oraz w Muzeum Regionalnym w Siemiatyczach (malarstwo Charytona), Miejskim Domu Kultury w Białym Podlaskim i w placówkach kulturalnych wsi Uho-wo i Rajska. Ważne przy tym, że galerie posiadają funkcje jako filie BWA — odwiedzane często przez pracowników tej firmy, prelegentów i artystów.

Ala dlaczego doszło do tego w miesiąc bez większych i odległych tradycji artystycznych, które np. w biografii swojego dwudziestolecia międzywojennego posiada tylko jeden jasniejszy punkt, a to w postaci Koła Miłośników Literatury i Sztuki, założonego w 1931 roku i chwalonego m. in. przez Marię Dąbrowską i Witolda Hulewicza? Może dlatego, że tamtejszym BWA od lat niemal 20 kieruje jeden i ten sam człowiek, na dodatek malarz. Nie jest to aniol, ani geniusz, ale ktoś znający się dobrze na swojej robocie i encją dobrze ją wykonaną. A tacy właśnie współtworzą coś tak istotnego dla rozwoju kultury artystycznej, jak tradycja.

LJK

P.S. Warto wspomnieć z doświadczeń Białegostoku. Polecam je szczególnie organizatorom ogólnopolskich plenerów malarskich w Kazimierzu Dolnym. (Gdzie znajdują się dorobek tych imprez, urządzonych od 1970 roku?).

W grudniu 1973 r. Tadeusz Watson był jednym z 15 członków-założycieli Krajowej Sekcji Artystów Iluzji przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Kultury i Sztuki w Warszawie, a od grudnia 1977 r. pełni z wyboru funkcję sekretarza tej jedynej w Europie organizacji profesjonalnych iluzjonistów, która ma status związku zawodowego. Ponadto zatrudniony jest na etacie w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych w Warszawie (nb. jedno z nielicznych wielkich przedsiębiorstw w Polsce, które od bez mała 30 lat nie zmieniło swej nazwy i chwala mu za to), patronujących od niedawna działalności artystycznej polskich iluzjonistów zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Godzi się zarażać nadmienić, że dyrektor artystyczny ZPR, Władysław Kieres — sam renomowany iluzjonista-manipulator a także aktualny przewodniczący KSAI — wysoko kwalifikuje poziom artystyczny programu „Magie Show Watson”.

Niedawno, korzystając z nieprzypadkowego spotkania z Tadeuszem Watsonem — kolegą „po magicznej palce” — przeprowadziłem z nim krótki wywiad:

MZ: Dlaczego zrezygnowałeś z uniwersyteckich studiów prawnie-ekonomicznych?

TW: Dlaczego? Przecież to zrozumiałe — dla iluzji. Sztuka iluzji posiada tę przewagę nad nauką, że jest ładna ma wdzięk i urodę.

MZ: Czy mógłbyś wyjawic ulubiony aforyzm?

TW: „Omne ignotum pro magnifico” (łac. „Wszystko, co nieznanne, wydaje się wspaniałe”) — naturalnie, z noweli A. Conan Doyle’a.

MZ: Czy coś zbierasz?

TW: Najchętniej oklaski.

MZ: Czy nie obawiasz się czegoś, co zwie się trema?

TW: Tak. Ponieważ najgorzej jest wtedy, gdy trema — czyli duże lustro — znajdują się na scenie, na której akurat pracuję.

MZ: Co sądzisz o krytykach?

TW: Według mnie sprawa ta została już dawno przesądzona, co najmniej tak dawno, jak długo ja żyję. Otóż w 1926 r. świetne polskie czasopismo satyryczne „Mucha” zamieściło na swych łamach fraszkę pt. „Krytyk”, której treść jest bardzo à propos:

„Wytyczne daje proste — każdy je rozumie. Chce od autorów tego — czego sam nie umie”.

MZ: Co uznajesz za swe sukcesy na przestrzeni ostatnich 3 lat?

TW: Chyba to, że w 1976 r. otrzymałem estradową kategorię „A” oraz fakt, iż dzięki krążeniu między układami dostalem się do „Układu krążenia”.

BOHATER Moliera z komedii „Mieszczanin szlachcicem”, będąc już w sile wieku, dowiedział się ku swojemu zdumieniu i radości, że przez całe życie mówił nie byle jak, ale prozą. Jest u nas sporo ludzi, szczególnie w byłym zaborze pruskim, dla których „i” w takich słowach, jak „kiedy”, „głębki” itp., wydaje się dziwolągami pisowni tylko, bo litery tej oni nie słyszą i nie wymawiają; w życiu rodzinnym głuchota na zmłeczenia trwa tam od pokoleń. W przedszkolach, szkołach i zakładach pracy nikt na tego rodzaju twarde brzmienie wymowy nie zwraca uwagi. Dopiero przypadek, życzliwe lub złośliwe uwagi potrafią obudzić niepewność: z moją wymową jest coś nie w porządku. W wieku dojrzałym na korektury z reguły jest już za późno, w każdym razie poprawę tonu języka osiągamy z wielkim mozolem, niewspólnie trudniej niż w miesiącach poniemowlęcych. Snobizmowi molierowskiego świętego nobilitowanego szlachcica wstrząsające dla niego odkrycie schlebiali współczesny człowiek nie musi popadać w depresję z powodu

błędnej wymowy, chyba że pragnie zostać aktorem lub śpiewakiem. Dzielnicowe naleciałości przeszkadzają w końcu najmniej, stają się nieraz nawet zaletą. Czy Wacław Kowalski w filmie „Samy swoi” wnosiliby tyle humoru i zyskałby taką sympatię widzów, gdyby tak doskonale nie posługiwał się akcentem wschodnim?

Najbardziej uciążliwe są wady wymowy, łatwiej słyszalne w otoczeniu, np. jękanie, lękanie sylab, bełkot lub to, co jest udziałem głuchych i głuchoniemych. Na szczęście istnieje nauka, która coraz lepiej potrafi zapobiegać wszystkim tego rodzaju dolegliwościom i je likwidować, a jest nią logopedia. Jej polskie centrum znajduje się w Lublinie przy Uniwersytecie im. Marii Skłodowskiej-Curie. Najpierw jedynym, potem i teraz głównym animatorem tej gałęzi wiedzy i wynikającej z niej praktyki jest profesor Leon Kaczmarek.

Profesor jest naukowcem niezwykle energicznym, wytrwałym i konsekwentnym. Nie tylko w swoich dociekaniach naukowych, bo to zdarza się często, ale przede wszystkim w dbałości, aby prowadzone przez Zakład Logopedii i Podyplomowe Studium Logopedyczne nie pozostały jedynie ośrodkami badawczo-naukowymi i kształcącymi kadry, ale również były bliskie praktyce w odległych punktach kraju.

Owczem, profesor Kaczmarek kładzie duży nacisk na stronę badawczą. Widzi on logopedię nie jako część pedagogiki specjalnej, ale jako kierunek samodzielny. Według niego ta dyscyplina jest nauką zajmującą się wszystkimi aspektami mowy: embriologicznymi, patologicznymi, społecznymi i artystycznymi. Ma ona integrować także wyniki badań wszystkich dyscyplin, w mniejszym lub większym stopniu zajmujących się mową lub też (szereż) rzecz ujmując, mającym z porozumieniem językowym — słownym i pisemnym — jakis związek.

Uniwersytet w trzydziestą piątą rocznicę swego istnienia oprócz innych osiągnięć będzie mógł uznać, że stworzył u siebie ogólnopolskie centrum logopedyczne, promieniujące bez wątpienia na cały kraj, eksportujące swoją myśl i dokonania praktyczne poza granice. Mój rozmówca mówi o tym zwięźle i bez nuty przesadnego zadowolenia, wyręcza go jednak dokumentacja, także bogata korespondencja. Zakład Logopedii UMCS oraz Polskie Towarzystwo Logopedyczne, któremu profesor prezesuje, utrzymują wzajemne kontakty i wymianę prac naukowych, referatów oraz dzielą się osiągnięciami absolwentów rozsianych już w różnych częściach Polski z podobnymi ośrodkami w: Związku Radzieckim, USA, Kanadzie, Czechosłowacji,

Argentynie, Francji, Belgii, Holandii, NRD, Rumunii, RFN, Jugosławii, we Włoszech i na Węgrzech, a ostatnio kontakty takie nawiązały z Lublinem logopedzi z Austrii i Wielkiej Brytanii.

Profesor nie posługuje się zaimkiem ja, często w tej rozmowie pada my. Chłubi się swoim współpracownikiem drem Józefem Kanią, który był jego prawą ręką (niestety, zmarł przedwcześnie), miał już swoje osiągnięcia naukowe, można było sobie po nim wiele obiecywać. W zaimek my włącza cały zespół swoich współpracowników w Zakładzie i Studium oraz Towarzystwie, a także ma na myśli coraz liczniejszych już doktorów i doktorantów, którzy przyjeżdżają do Lublina, aby zdobywać stopnie naukowe. Są oni pracownikami uniwersytetów, a nawet wyższych szkół teatralnych i muzycznych. Podejmują się nieraz niezwykle uciążliwych i długoletnich badań, czasowo porzucają swoje dotychczasowe placówki, by zbliżyć się do praktyki logopedycznej, z niej czerpać materiał do dysertacji. Tym samym wzbogacają także stan wiedzy w

nie jest przez profesora — jako redaktora naczelnego — i kolegium piarni. On sam nie gardzi również formami popularnymi. Wydana przez Wydawnictwo Lubelskie książka prof. Kaczmarka pt. „Nasze dziecko uczy się mowy” jest zrozumiała dla każdego, a równocześnie posiada rozdziały mogące zadowolić wybrednego naukowca. Nic więc dziwnego, że publikacja ta dawno już jest wyczerpana, że przygotowane jest czwarte, rozszerzone wydanie.

Zdaję sobie sprawę, iż nie udało mi się ukazać w pełni sylwetki profesora. Leon Kaczmarek jest niesłychanie oddany swej pracy, która — to widać — jest jego powołaniem. Za naczelną maksymę uznaje on coraz bardziej powszechne przekonanie, że największym dobrem jest dziecko. Wymyślił on i upowzechnił dwanaścioro przykładów logopedycznych. Może one dopełnią tę postać i jej dążenia, nawet jeżeli przekażą je w streszczeniu? Spróbujmy:

— Narządy mowne — mówi prof. L. Kaczmarek — kształtują się i racynają funkcjonować już w życiu płodowym. Rytm serca i chodu matki mają to swój wpływ, a także wyrażenia się przez nią wszel-

PROMIENIUJĄCE CENTRUM

Tadeusz Jasiński

tej dziedzinie. Profesor pragnie w ten sposób uzyskać wpływ tej nauki we wszystkich tych zakładach i instytucjach uniwersyteckich, wyższych szkół pedagogicznych, muzycznych i teatralnych, które mają związek z mową, wymową, rzeczywistym językiem, oczywiście polskim. I wpływ ten z wolna uzyskuje. Absolwenci wspomnianych typów uczelni będą w przyszłości oddziaływali na kształtowanie wymowy dzieci i uczniów, młodzieży artystycznej, pracowników masowych środków przekazu.

Podejście to może wydać się chytre, ale jest uzasadnione, konieczne. Tędy wiedzie droga do dziesiątków tysięcy młodych ludzi, którzy potem wywierają wpływ na nasze życie, często już poza ośrodkami uczelnianymi. Część spośród nich — bo autentycznych logopedów, wykształconych przez podyplomowe studium nie wystarczy jeszcze długo — spełniać będzie wytyczne Ministerstwa Oświaty i Wychowania sprzed trzech lat w sprawie rozwoju kształcenia specjalnego i pomocy dzieciom z odchyleńmi i zaburzeniami rozwojowymi. Mojemu rozmówcy chodzi także o ustalenie wreszcie statusu logopedy, o podniesienie jego prestiżu zawodowego zarówno w placówkach oświatowych i służby zdrowia, jak i w samym społeczeństwie. Jego pragnieniem jest, aby Polska Akademia Nauk uznała pełniej wagę tej dyscypliny i częstokroć zainteresowania nią trzech różnych zespołów polaczyła w jednej komisji logopedycznej, co spowodowałoby bardziej jednolite prowadzenie w Polsce badań i zapewniło lepszą koordynację wszelkich praktycznych i prawnych poczynań w tej dziedzinie.

Są to działania i oddziaływania, jak gdyby zewnętrzne. W rozmowach w Zakładzie wyczuwa się jednak silnie zakodowane w myślach kierownika i jego współpracowników przekonanie, że obok prac badawczo-naukowych niezwykle ważką jest w tej dziedzinie, dość nowej pedagogicznej, wychowawczą i organizacyjną. Wszczępiona we współpracowników i uczniów pewność, że dobra lub zła mowa człowieka, tzn. budowanie i percepcja przezeń wypowiedzi, zależy nawet od przebiegu ciąży, że najlepsze oddziaływanie pozytywne na jego prawidłową mowę najpełniej i trwale pozostawia ślady, gdy następuje w okresie niemowlęctwa, a także lat dziecięcych, to przekonanie jest w nich wszechobecne i wyraźnie zobowiązuje.

W naszym społeczeństwie wiedza o możliwościach leczenia i usuwania wad mowy u dzieci jest niedostateczna. Dlatego Polskie Towarzystwo Logopedyczne nie zamyka się tylko w gronie fachowców, ale skupia także wielu, których obchodzi właściwy rozwój dziecka i młodzieży, mimo że w tym kierunku nie zdobyli wykształcenia. W tym duchu także redagowa-

kiego rodzaju narkotyków, tytoniu, alkoholu, nadużywania leków. Mowa otoczenia powinna być poprawna. Na aktywność uczuciową i słowną tego otoczenia dziecko powinno reagować, a jego własna aktywność nie powinna być niczym krepowana. Nieprawidłowa budowa narządów mownych, np. rozszczep warg, dziąsła lub podniebienia, zniekształcenia w układzie szkieletu i uzębienia powinna być leczona we właściwym czasie przez lekarza specjalistę. Leworęczne dziecko musi być otoczone specjalną opieką. Kiedy mały człowiek zaczyna coraz więcej mówić i pytać, nie może spotkać się z obojętnością lub cierpkością. Nie wolno używać przy wychowaniu tw. języka dziecięcego, ponieważ będzie on musiał potem uczyć się języka polskiego, jak gdyby po raz drugi. Jeżeli jego mowa kształtuje się nieprawidłowo, trzeba się udać po pomoc do poradni logoterapeutycznej. Słysząc nieprawidłowości w wypowiedziach, powiedzmy u trzylatka, nie należy poprawiać go zbyt natręcznie, raczej szukać okazji, aby przy nim dane słowo wielokrotnie wymawiać właściwie. Wynurzenia dziecka trzeba traktować jako nadzwyczaj cenne ćwiczenie językowe, nie wolno mu przerywać. Jeżeli mimo wszystko nie udało się zspobiec powstawaniu zaburzeń mowy, nie należy się zamykać. Coraz leźniejsze poradnie logoterapeutyczne są w stanie dziecka dopomóc.

Czy jednak wszystko w dziedzinie logopedii idzie ku lepszeniu i nie ma już żadnych trosk i potrzeb? Są, ale osiągnięto wiele, najwięcej w stosunku do innych ośrodków dlatego można mówić o promieniowaniu. Pożądane byłoby jednak zwiększenie możliwości studenckich praktyk logopedycznych przy Poradni Zakładu Logopedii a poza uczelnia, nawet poza Lublinem, w przedszkolach—ćwiczeniówkach i klasach początkowych szkół. Wiele rozwiązań też rozszerzenie pomieszczeń Poradni Surdologopedycznej Zarządu Okręgu Polskiego Związku Głuchych przy ulicy Buczka w Lublinie, bo i tam mieliby słuchacze dobre i właściwe pole do podnoszenia kwalifikacji. Jeśli spojrzeć na mapę rozmieszczenia dwustu czterdziestu absolwentów, to znaleźliśmy coraz mniej województw, w których nie pracuje chociaż jeden logopeda, tym bardziej że od pewnego czasu również podobne studium Uniwersytetu Warszawskiego walczy w tej mierze pomaga. Jakże jednak jest ich mało w stosunku do potrzeb! Kiedy przed laty pierwsi uczniowie obejmowali placówki, cieszyło profesora każde wymazanie białej plamy, teraz martwi go, że w ogóle jeszcze takie istnieją, a nadto, że jeden, nawet pięciu logopedów w jakimś województwie, czy dużym mieście to mało, a ludzi niekompetentnych w tej dziedzinie jeszcze tak wielu.

Podstawy, aby było inaczej, zostały jednak stworzone.

WCZORAJSZE DZISIAJ

LASKAWY Czytelniku, prosimy Cię o szczytnie. Nie ukrywamy, że zależy nam na Twoich okrągłych oczach: publikujemy obok wiersze, jakich się dziś nie pisze. Nie pisze się, a zostały napisane.

Od dawna słyszymy narzekania na współczesną poezję. Ze nie-szumiała. Rzeczywiście zagubiła kontakt z odbiorcą. Z pewnością w poszukiwaniu teraźniejszych nie wyeksploatowanych, nie wnikniętych artystyczną penetracją. To można uznać. Ale co pomoże wierzoniu czytu w miłoścu, gdzie nie ma nafty. Poezja istnieje jedynie jako zjawisko międzypodmiotowe. Jestli poszukuje tylko nowych swiadeków słownych, a nie nowych warunków, nie jest w stanie osiągnąć swojej pełni, samej siebie. Coż jest warte szlifowanie narzędzia pracy, dla której brak materiału, na którą nie ma zapotrzebowania?

Zresztą i to szlifowanie jest problematyczne. Można to łatwo wykazać cytatem z pierwszego lepszego tygodnika (dwutygodnika też). I nie tylko dalszy. Może lepiej będzie pominąć nazwiska, by nie doprowadzić do zakłóceń porządku publicznego, ale warto zauważyć pewną prawidłowość: tylko poeta niskiego lotu, nie czując należytego wsparcia ze strony czytelników, komplikuje środki wyrazu i na tym wyeksponuje swoją inwencję. Bo nie ma wizer. Widzi wiersz jako kartkę papieru, którą należy pokryć „oryginalnymi” słowami.

Pogoń za nowością ulega takiej dewiacji, że — o paradoksie — ewangelizacja dziś jest poezją tradycyjną. Przynajmniej jest rzadka do tego stopnia, że budzi szczytnie, podczas gdy współczesna — obojętność zrodzona z przewidywania. Nie z innego źródła wynika renesans sonetu — niezależnie od zastosowanych środków formalnych, które z charakterem tego rodzaju poetyckiego są niezmiennie.

Z listów nadesłanych do redakcji wybraliśmy te, które nie dały się ogarnąć owym pędem do odzłowień. Przypomni ktoś Aaryka — Aaryka, który sam nie był owatorem — że „przeżytych kształtów jeden cud ale wróci do istnienia”. Tak, ale oprócz kształtów przeżytych są kształty nie do przeżycia — ani w przeszłości, ani w przyszłości. Te nie interesują czytelników, którzy w poezji szukają przeżyć, stanów psychicznych, zamysłów nad zjawiskami świata i — nie bójmy się starożytności — określenia — umiłowania piękna. A jeśli są to wiersze do, czy se satambucha, wól należy się im choćby odrobina uwagi, jako że jest to poezja, którą mimo wszystko jeszcze nie zanika.

Mamy nadzieję, że wielu czytelników w tych kilku rymach znajdzie coś dla siebie: szermierz nowoczesności tym większy bodziec polemiczny, czytelnik po pięćdziesiątce lektur skłaniając do wspomnień, zwolennik buczków radości z kamyczka wrzucanego do czyjejszego ogródka.

Czyli — jesteśmy w porządku

Cyprian Czernik

ESKAPADA

LOTY

Te tak się zawsze zaczyna,
je idę najlepszą drogą
pijony — tylko trochę — od wina,
i nagle truwam i podłogam.

I naraz ciemność ocz kańca,
i spadam w otwartą szparę,
jak gdybym zasłużył na karę,
jakbym się zbliżył do słońca

Jechałem na wprost przez wygony,
wokół krążyły nieme wrony.

Zajęce pasły się na łące,
pamiętam ścieżki każdy szczegół.

Z brzozy podniosłem sopel ładu,
gaś w nim ostatni błysk zachodu.

Upadłem w jarze jak niezły,
w świat nierealny, nieprawdziwy.

Wóz mnie najechał, nim się wiozłem,
Hermes powził z koła Kołem.

Eligiusz Ristau

TĘSKNOTA

Często przychodzi do mnie
Tęsknota wielka, niemożna,
Przynosi temat do wspomnień
I noc bezsenno do rana

Jakaś tęsknota za daleką,
Której nie widzę końca
Znowu przypląwa łań
I każe lecieć do słońca.

Dziś do mnie znowu przybyła,
Lecz taka smutna, jak rzadko.
Jakądyby tęsknot była,
Które skonały, matka.

Jodeusz Ross

WIERSZ

Niechaj płynie wiersz wartki, porywista oda,
Niech się rymy i rytmy godzą albo klócą,
Niech kołyszą się strofy jak „Statek” Rimbauda,
I niech trzeźwi pijanych moich strzał nie cuca.

Wiersz ma swoje kanony albo brak kanonów,
To na jedno wychodzi w ostatecznej sumie.
Niech więc dźwięki w nim dzwonią według prawa dźwięku,
Lecz prawo nie jest prawem ani le kłó zrozumie.

Wiersz to potok, wodospad, lawina i zamek,
Jest w nim radość i modły i czerń absolutna.
Wiersz kłamać nie powinien, a jeżeli kłamie
To dlatego, że prawda bywa zbyt okrutna.

Ach, bo życie to seans: są w nim różne media,
Coś się dzieje, coś płacze fantazje i realnym.
Jak wiersz tak się skanduje ta Ludzka Komedia
Od wiosny aż po zimy powiew borealny.

Słońce wschodzi jak straż, złota straż pierwsza,
A potem płyną inne, dniem ładowne, barki.
I czasem serce z sercem składa się do wiersza
I sonet uistaje jak z dłoni Petrarci.

Wtedy wiersz się kołysze, wzbija się i pieni,
Wiersz odkrywa wciąż nowe horyzonty szersze,
Poezja strzela w niebo jak wiązka promieni
I mówimy wierszami i milczymy wierszem.

Stanisław Buczyński

ZIEMIO

Idę pod twoim sztandarem
w chlebnych, jasnych płomieniach.
W pierśiach mam pełno ziaren
żyta, pszenicy, ieczmienia.

Kazałaś mi trwać w tej chacie
i krwi się mojej opisać.
Nie zrodziła mnie macierz,
ty mnie, ziemia, zrodziłaś.

Ciepła nadajesz grabom
i ognia tam, gdzie ciemno.
Piorun ten sam nad tobą,
piorun ten sam nade mną.

Jest w tobie potęga trwania
na wieczne nieprzemijanie,
a we mnie — pląd do orania
na żon i smartwychwanie.

Marzena Wójcik

PIEŚŃ WYZWOLONA

Wieczorem, kiedy miok się wije,
przy stole siadam z bratem mym,
wódkę z butelki wolno piję
i z panierosa wdycham dym.

Na dworze miok swą szatę ściele
my nalewamy raz po raz
i już powinno być wesele,
a jednak smutno ołynie czas.

To wódka jest przyczyną moich cierpień,
to wódka jest przyczyną moich trosk,
tam, na księżycu kryształowym sierpnie
osiada sen i smartwień lepki wosk.
To wódka jest powodem mojej skargi.

to ona sprawia, że polykam ły,
i gdy ocieram z alkoholu wargi
zakąsek cały stół leciutko drży.

Już północ dawno wybił zegar,
przez szkło butelki widzę świat.
Mylę gorączkowo wokół biega
i śmieje się pijany brat.

Dwa łyki jeszcze i skończono,
już karuzela prędko gno
i tylko w głowie wielkim drwonem
jak huk C.H.OH.

To wódka jest przyczyną moich cierpień,
to wódka jest przyczyną moich trosk,
tam, na księżycu kryształowym sierpnie
osiada sen i smartwień lepki wosk.
To wódka jest powodem mojej skargi,
to ona sprawia, że polykam ły,
i gdy ocieram z alkoholu wargi
zakąsek cały stół leciutko drży.

I na humoru czekam porę,
na zamroczenie, lekkość, szal,
przecież mówiłem sam wieczorem,
że się okronnie będę śmiał.

A tu już dzień się budzić zaczyna,
a ja ponuro patrzę w dal.
Brat już na pewno usnął smacznie,
a mnie pozostał tylko łał.

To wódka jest przyczyną moich cierpień,
to wódka jest przyczyną moich trosk,
tam, na księżycu kryształowym sierpnie
osiada sen i smartwień lepki wosk.
To wódka jest powodem mojej skargi,
to ona sprawia, że polykam ły,
i gdy ocieram z alkoholu wargi
zakąsek cały stół leciutko drży.

Zmęczoną głowę trzymam w dłoniach
a na powiekach leży głaz.
Słuchając smutnie głosu w skroniach
myślę: „To był ostatni raz”.

UBIEGLOROCZNE. Jedenaste już Lubuskie Lata Filmowe odbywające się tradycyjnie w zabytkowym Lagowie, miasteczku położonym wśród malowniczych lasów i jezior, przebiegało pod hasłem „Miejsce polskiego filmu fabularnego w światowej twórczości filmowej 1944—1979”. Nieprzypadkowo więc przegląd retrospektywny — tym razem przedstawiający filmy, które w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat zdobyły międzynarodowe nagrody i wyróżnienia — rozpoczął „Ostatni etap” Wandy Jakubowskiej, laureat Grand Prix na III Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mariańskich Łazniach w 1948 r., obdarzony I Nagrodą na I FF Pracujących w Gottwaldowie w 1949 r., uhonorowany nagrodą Światowej Rady Pokoju.

Te przecież właśnie „Ostatni etap” otworzył swego czasu polskiemu filmowi drogę na światowe ekrany. Międzynarodowa krytyka, która przed wojną w ogóle nie dostrzegała filmu polskiego, miała — dokonując oceny powojennego kina światowego — pisać na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych m. in.: „Polacy po wojnie objawili się niemal sensacyjnie filmem o ruchu oporu, „Ostatnim etapem” Wandy Jakubowskiej...” Lub też: „...kino to dało pierwsze ważne rezultaty w 1948 r., wstrząsającym „Ostatnim etapem” Wandy Jakubowskiej, która sama przeżyła piekło Oświęcimia”.

„Ostatni etap” był naszym trzecim powojennym filmem, po powstałych w 1947 r. „Zakazanych piosenkach” Leonarda Buczkowskiego i „Jasnym lasach” Eugeniusza Cękalskiego. „Zakazane piosenki” jeszcze w 1947 r. zostały zakupione przez Związek Radziecki, Bułgarię, Czechosłowację i Węgry, ale światowy sukces i szeroki oddźwięk miał zyskać dopiero film Wandy Jakubowskiej.

„Ostatni etap” miał premierę 28 marca 1948 r. Odbyła się ona w Łodzi. Ale warto przy okazji podać fakt mało znany: jeszcze przed pierwszą polską oficjalną projekcją film wyświetlony był w marcu 1948 r. w Czechosłowacji, w Pradze, pod tytułem „Oświećmy”. W ten sposób triumfalna droga „Ostatniego etapu” przez ekrany 46 krajów, rozpoczęła się właściwie już za granicą.

na ucieczką przed kolejną „selekcją” do gazu...

Do sukcesu filmu walczyli przyezyniają się doskonale zdjęcia Borysa Monastyrskiego oraz gra młodych polskich aktorów, których rozwój talentu i osobowości mogliśmy obserwować w ciągu ostatnich trzydziestu lat: Zofii Mrozowskiej, Aliny Janowskiej (niezapomnianej partyzantki Dessy), Aleksandry Śląskiej, Antoniny Góreckiej, Edwarda Dziewońskiego (lekarz obozowy) czy Stanisława Zaczeka.

Drugim znaczącym filmem tamtego pierwszego okresu była „Ulica Graniczna”. Obejrzała go dotąd publiczność 38 krajów. „Oba te filmy

dziennych imprezach filmowych prezentując 248 filmów fabularnych i 327 krótkometrażowych. Na festiwalach filmy polskie zdobyły w ubiegłym roku 36 nagród i wyróżnień. Wśród nich najważniejsze to: „Srebrny Niedźwiedź” dla Jerzego Kawalerowicza na MFF w Berlinie zachodnim, I nagroda na festiwalu w Kartaginie dla Andrzeja Wajdy za „Ziemię obiecaną”, Nagroda FIPRESCI (międzynarodowego stowarzyszenia krytyki filmowej) w Cannes dla Andrzeja Wajdy za „Człowieka z marmuru”, „Srebrny Lampart” dla „Pokoju z widokiem na morze” Janusza Zaorskiego na festiwalu w Lorcarno, Główna Nagroda dla „Smierci

publiczności tych krajów. Trudno zresztą zorientować się w tej materii, skoro żadna instytucja nie zajmuje się u nas choćby konsekwentnym zbieraniem recenzji o polskich filmach w prasie zagranicznej. Jak wobec tego kształtować w sposób właściwy politykę filmów? Na ile znajomość polskich filmów przez bardzo nawet szeroką widownię oznacza znajomość naszego kina? Związek Radziecki sprowadza na przykład przeciętnie 10 polskich tytułów w ciągu roku. Tamtejsza szeroka publiczność oglądała z ogromnym zainteresowaniem „Lalkę”, „Potop”, „Sprawę Gorgonowej” czy „Hubala”, ale mniej wie ona o filmach Hasy czy Wajdy. Z drugiej jednak strony środowisko artystyczne głównych ośrodków miejskich zna dobrze nasze kino ze specjalnych przeglądów czy imprez w rodzaju Tygodnia Filmu Polskiego. Wreszcie — właśnie w Związku Radzieckim ukazało się, najwięcej spośród krajów socjalistycznych, wydawnictwo na temat polskiego kina: m. in. monografia Andrzeja Wajdy pióra Mirona Czernienki, scenariusze Krzysztofa Zanussiego w tłumaczeniu tegoż autora, monografia Jerzego Kawalerowicza, czy też „Szkice o filmie polskim” naszego znanego krytyka Bolesława Michalka.

Drugie miejsce — jeśli chodzi o opracowania dotyczące filmu polskiego — zajmuje Czechosłowacja.

Krytycy z krajów socjalistycznych najczęściej zwracają uwagę na charakterystyczne dla polskiego kina odważne dążenie do prawdy historycznej, na uwidaczniającą się w nim silną wspólnotę ludzką, na czystość moralnego tonu, który pojawił się już w „Ostatnim etapie”, a później znów nabrzmiał gorąco w ostrych dyskusjach, jakie toczyli ze światem i historią przedawiciele „szkoły polskiej”. Zauważa się wreszcie i ceną nasze kino lat siedemdziesiątych: kino Zanussiego, Kieślowskiego i innych, obserwujące uważnie współczesnego człowieka, żyjącego w rozwijającej się socjalistycznej społeczności.

Trudniej nam było początkowo znaleźć zrozumienie na widowiskach Zachodu, gdzie w ogóle w połowie lat pięćdziesiątych nie zajmowano się małymi kinematografiami i gdzie jeszcze w 1955 r. — jak stwierdził Jerzy Plązewski — wydano na Zachodzie duże, dwutomowe dzieło z zakresu historii filmu bez wzmianki na temat kina polskiego. Ale już wkrótce zaczęliśmy być znani jako ci, którzy nawiązują konsekwentnie w swej twórczości do spraw wojny, okupacji, prowadząc z nią gorący, ale i rzeczowy rozrachunek. Dzisiaj nadal interesujemy świat jako kino podnoszące i stale drążące problemy społeczne, moralne — a co jest dodatkowym czynnikiem zainteresowania przez Zachód — problemy nurtujące społeczeństwo nowego typu, socjalistyczne, jakie większości mieszkańców krajów kapitalistycznych jest przecież nieznane. Ważnym czynnikiem zainteresowania się polskim kinem, był, zdaniem Bolesława Michalka, fakt, że właściwie prawie od początku opierało się ono na zasadzie autorstwa, było intelektualną, osobistą wypowiedzią twórcy i w skali światowej stanowiło to swoiste, polskie novum, zanim idea kina autorskiego zdobyła na świecie swoje miejsce i obecna, wysoka pozycja. Właśnie respektowanie osobistego punktu widzenia — wydatek się Bolesławowi Michalkowi — było najważniejszym czynnikiem oddziaływania na kino światowe; także rozpatrywanie relacji: człowiek — historia, co również stanowi polskie novum w skali światowej.

Wynikały z tych uwag następne, podnoszone już przez innych uczestników obrad: polskie kino zostało dostrzeżone na świecie głównie dzięki naszemu doświadczeniu, dzięki ciągłemu dialogowi, jaki toczy ono z otaczającym światem, z rzeczywistością, w jaką jest wpisane, poczynając od doświadczenia historycznego, wojennego, a kończąc na zaplecie codziennych doświadczeń kraju znajdującego się w obrębie ustroju socjalistycznego. Zaskakująco wysoka liczba filmów artystycznych powstających w ramach mało wszak okazałej produkcji, nie przekraczającej 30 filmów rocznie, świadczy właśnie o zaangażowaniu w sprawy współczesnego życia i o ambicjach naszych twórców. „Obraz Polski, jaki chcemy pokazać światu, jest obrazem Polski zmieniającej się, a więc Polski, która szuka drogi” — pisał w swym referacie Krzysztof Zanussi. I w tym stanowi m. in. w świecie o zainteresowaniu naszym krajem.

35 LAT POLSKIEGO FILMU ZA GRANICĄ

„Ostatni etap” etapem pierwszym...

Mirosław Derecki

— pisze dr Maria Czerwińska w „Materiałach dokumentacyjnych dla Lubuskiego Lata Filmowego 79” — stanowiły refleksje ich twórców związane z przemyśleniami wynikającymi z lat wojny. Mówiły o tragedii zagłady o heroizmie walki, ludzkiej godności i solidarności. Ich autentyzm i wstrząsająca wymowa zadecydowały o sukcesie międzynarodowym”.

Trzeba było następnie dopiero szeregu lat, faktu narodzenia się „szkoły

Prezydenta” Jerzego Kawalerowicza na festiwalu filmowym w Kordobie.

Tyle — statystyka. Wynika z niej, że stał się w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat kinematografią znaną w świecie, że liczba zawieranych przez nas transakcji filmowych stale wzrasta, a eksport filmów na rynki wschodnie i zachodnie ciągle się zwiększa.

Liczyby bezwzględne nie potrafią jednak odpowiedzieć na pytanie, jakie jest miejsce polskiego filmu fabularnego w światowej twórczości filmowej w minionym trzydziestopięcioletnim. W jaki sposób i na ile kino polskie uczestniczy w rozwoju kina światowego, w jakim stopniu ma wpływ na jego artystyczne dokonania. Jest na przykład rzeczą bezsporną, że ogromną popularnością cieszą się na całym świecie nasze filmy animowane przeznaczone dla najmłodszej widowni, takie jak np. „Przygody Bolka i Lolka”. Wiadomo, że miliony ludzi oglądały za granicą „Krzyżaków”, „Potop” czy „Pana Wołodyjowskiego”. Film „W pustyni i w puszczy” zyskał w Związku Radzieckim bodajże większą liczbę widzów niż w Polsce; gdzie indziej zaś frekwencyjną furorę zrobił, mierny wszak, „Con amore”. Ale to wszystko nie świadczy jeszcze o pozycji polskiego kina jako zjawiska artystycznego. Można być kinematografią płodną i dobrze sprzedającą się, ale nie dostrzeganą w wymiarze artystycznym. I na odwrót: niekoniecznie jednostkowe sukcesy artystyczne muszą być na zewnątrz rękojmnią siły i oryginalności danej kinematografii.

Właśnie na te pytania próbowali znaleźć odpowiedź w tym roku referenci i dyskutanci podczas specjalnej sesji zorganizowanej w Lagowie przez Klub Publicystyki Filmowej SDP oraz Stowarzyszenie Filmowców Polskich. Tematyka sesji była szczególnie interesująca, a problemy — poruszane na szerszym forum właściwie po raz pierwszy. Wojciech Wierzewski mówił o „Filmie polskim i przemianach socjalistycznej sztuki filmowej w powojennym 35-leciu”, Jerzy Plązewski wygłosił referat nt. „Film polski w recepcji postępowych twórców i krytyki zachodnioeuropejskiej”, Krzysztof T. Toeplitz wystąpił z referatem „Polskie doświadczenie jako element światopoglądu współczesnej i światowej sztuki filmowej”; odczytano także wypowiedź Krzysztofa Zanussiego, który w ostatniej chwili musiał odwołać swój przyjazd do Lagowa: „Szansa dialogu, czyli obraz współczesnej Polski pośród aktualnych poszukiwań światowego filmu”. Już z samych tytułów można się łatwo zorientować o skali i zakresie poruszanych zagadnień. Nie relacjonując drobniawo poszczególnych wypowiedzi, zwrócimy przede wszystkim uwagę na fakt, że wykazano już na samym wstępie, iż właściwie nie wiemy dotąd, czym jest polskie kino w recepcji naszych najbliższych sąsiadów, jak również czym jest ono w oczach szerokiej



Fot. CAF

Film Wandy Jakubowskiej miał przede wszystkim dawać świadectwo prawdziwe: pokazać światu ogrom zbrodni hitlerowskich, piekło obozów koncentracyjnych, a przy tym — człowieczeństwo ludzi wtrąconych do obozów i ich wolę przetrwania. Dlatego, choć „Ostatni etap” jest filmem fabularnym, należy go zarazem odbierać jako rodzaj fabularyzowanego dokumentu.

Kiedy dzisiaj, po trzydziestu z górą latach, oglądamy „Ostatni etap”, może on nas razić w wielu miejscach nawiązaniem niektórych scen i sytuacji — szczególnie scen atelierowych — czy też swoim dość nieoczekiwanym i mało prawdopodobnym zakończeniem. Ale film Jakubowskiej wszędzie wygrywa tam, gdzie wchodzi w „plener” — na plac apelowy, między baraki na kolejowej rampie. Wszędzie tam, gdzie kamera wkracza między ludzi w pasiakach, bitych, poniewieranych, katowanych, szcztanych psami, ratujących się panicz-

polskiej” związanej z nazwiskami i osobowościami artystycznymi Wajdy, Munka i innych reżyserów, aby powtórzyć i ugruntować w świecie ten sukces, tę pozycję, jaką zyskała młoda polska kinematografia dzięki „Ostatniemu etapowi” Wandy Jakubowskiej.

W 1950 roku zawaraliśmy 36 eksportowych transakcji filmowych sprzedaliśmy nasze filmy do 21 krajów. W pięć lat później było już tych transakcji 61; przeprowadziliśmy je z 33 krajami.

W roku 1978 przedsiębiorstwo „Film Polski” sprzedało 119 filmów fabularnych i 699 krótkometrażowych. Zakupiło je 55 krajów. Najwięcej — Bułgaria (21), następnie: NRD (18), Węgry (14), ZSRR (8), Hiszpania (12), Szwajcaria (11), RFN (10).

W ubiegłym roku wzięliśmy udział w 79 międzynarodowych festiwalach filmowych. Uczestniczyliśmy w 49 międ-

PKWN WE FRANCJI

Ryszard Nowosad

PO krótkotrwałej kampanii francusko-niemieckiej, 27 czerwca 1940 r. w Retondes, Francja podpisała akt kapitulacji. Kraj został podzielony na północną strefę okupacyjną, bezpośrednio rządzoną przez hitlerowców, z której w miesiąc później Alzacja i Lotaryngia włączono do Rzeszy oraz strefę południową, „wolną”, gdzie władzę sprawował rząd marszałka Filipa Pétaina z siedzibą w Vichy.

W pierwszych dniach okupacji konspiracja zawiązywała się sporadycznie, ale od początku uczestniczyli w niej Polacy, byli żołnierze Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii zwolnieni z obozów dla internowanych i żołnierze rozwiązanych jednostek polskich. W miarę rozszerzania się ruchu oporu, zwłaszcza po pierwszych niepowodzeniach Niemców na Wschodzie i w Afryce, do konspiracji francuskiej włączala się również polska emigracja zarobkowa. W strefie północnej jej liczba dochodziła do 300 tysięcy Polaków pracujących w kopalniach węgla, rudy żelaza i w hutach, głównie w departamentach Pas-de-Calais, Meurthe-et-Moselle i Saône-et-Loire. W strefie południowej pracowało ponad 50 tysięcy Polaków, najwięcej w departamentach Loire, Gard, Allier. Fakt, że tak liczna emigracja polska wywodziła się ze środowiska robotniczego, rzutował na to, że w walce z hitleryzmem wielu Polaków znalazło swoje miejsce w lewicowym ruchu oporu.

Już w początkowym okresie okupacji komuniści polscy przystąpili do reaktywowania Polskich Grup Językowych Francuskiej Partii Komunistycznej, którymi kierowali Franciszek Sobiecki, Bolesław Maślankiewicz a następnie Jan Rutkowski. Działalność Polskich Grup była wielokierunkowa: od akcji propagandowych w formie wydawnictw, ulotek i odez, poprzez pomoc dla konspiracji w Polsce aż do sabotażu i akcji bojowych. W celu zasilenia ruchu partyzanckiego w kraju przetrucano od połowy 1942 r. do Polski byłych dąbrowszczaków, m. in. Grzegorza Korczyńskiego — organizatora GL na Lubelszczyźnie, Jana Sławińskiego — sekretarza lubelskiego obwodu PPR, Franciszka Książarczyka.

Generalnym celem Grup Językowych była jednak konsolidacja Polaków we Francji do czynnego oporu przeciw hitleryzmowi w imię

wyzwolenia Polski i Francji. Zadaniem to spełnić miała Organizacja Pomocy Ojczyźnie (OPO) założona w połowie 1942 r. w strefie południowej, a jesienią tegoż roku w strefie północnej. Jednym z założycieli OPO był aktywny działacz lewicy emigracyjnej, dr nauk humanistycznych — Henryk Jabłoński.

Kolejnymi krokami w realizacji idei jednolitofrontowej walki polskiej emigracji było utworzenie 23 polskich oddziałów Wolnych Strzelców i Partyzantów, a jesienią 1943 r. powołanie Związku Młodzieży Polskiej „Grunwald” — masowej organizacji młodzieży oraz Koła Kobiet Polskich — samodzielnej organizacji kobiet w ramach OPO.

Wiosną 1944 r. w obliczu lądowania wojsk alianckich, atmosfera we Francji miała charakter przedpowstaniowy. Ożywiła się działalność partyzancka, zwiększył się napływ młodzieży do ruchu oporu, wzmożyły się strajki. W obliczu powszechnego powstania przeciw Niemcom sprawa konsolidacji grupowań emigracyjnych stała się dla komunistów polskich sprawą pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza że nadeszły wiadomości o utworzeniu w Polsce Krajowej Rady Narodowej. „Sprawa jest teraz jasna — pisano w „Na Straży”, informując o powstaniu KRN — z jednej strony stoi cały polski Naród, zwarty w jedności, bohaterski w walce patriotycznej, głęboko demokratycznej [...] a jego wyrazicielem jest KRAJOWA RADA NARODOWA; z drugiej strony, garstka niedobitków sanacyjnych, izolowanych od wpływu i łączności z Narodem. Wychodźstwo polskie nie waha się w wyborze. Łączy się z Narodem”.

Na wzór francuskich Komitetów Wyzwolenia (Comités de Libération) zaczęto tworzyć miejscowe i departamentalne oddziały Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W lutym 1944 r. powstał PKWN okręgu wschodniego, a w marcu 1944 r. PKWN okręgu północnego.

16 kwietnia 1944 r. odbyła się w Denain, w mieszkaniu Mikołaja Jaba konferencja Polaków, która wyłoniła PKWN na strefę północną. Z uwagi na największe skupisko polonijne stał się on czasowo kierownictwem krajowym, sprawując polityczne zwierzchnictwo nad polskimi organizacjami oporu. Prezesem został Władysław Chwistek, a sekretarzem Tomasz Piętka. W

skład PKWN weszli przedstawiciele Polskich Grup Językowych FPK, OPO, ZMP „Grunwald”, Związku Kobiet, Związku Polaków, PPS i przedstawiciele polskich sekcji CGT (Generalna Konfederacja Pracy). Również w kwietniu 1944 r. w górniczej osadzie Cotatey pod St. Etienne, w domu Polaka Onufrego Misia powstał PKWN strefy południowej.

O utworzeniu PKWN, jako tymczasowego przedstawicielstwa emigracji polskiej we Francji, donosił organ PKWN — „Dla Polski” z maja 1944 r., informując jednocześnie o uchwałach podjętych na konferencji w Denain. Głosiły one dążenie do „zmobilizowania całej emigracji polskiej do walki z najęźszą germańską o niepodległą, silną i demokratyczną Polskę”. Solidaryzując się z uchwałami Krajowej Rady Narodowej PKWN we Francji opowiadał się za Polską Ludową „z przywróceniem jej ziemiami zachodnimi, opartą szerokim wybrzeżem o Baltyk i współpracującą przyjaźnie z sąsiadami”.

Specjalna uchwała PKWN polecała zorganizować we Francji polskie siły zbrojne podporządkowane dowództwu francuskiemu. W tym celu, po wyładowaniu alianców w Normandii, ogłoszono 8 czerwca 1944 r. dekret mobilizacyjny:

„Polacy! Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zarządza:

1) Od dnia dzisiejszego wszyscy Polacy zmobilizowani są w służbie Ojczyzny. Bez zwłoki twórcze polskie Siły Zbrojne we Francji. Współdziałajcie wszędzie z francuską Milicją Patriotyczną. Wszelkimi sposobami zdobywajcie broń, przede wszystkim na Niemcach i Volksdeutschach.

2) Wspólnie z Francuzami organizujcie strajki miejscowe, które przerosną w strajk generalny. Wspólnie z Francuzami twórcze komitety strajkowe w kopalniach i fabrykach.

3) Wzmocnijcie sabotaż. Zrywajcie druty telefoniczne, rozkręcajcie szyny kolejowe, dezorganizujcie transport, zatrzymujcie wszelkimi sposobami produkcję wroga. Likwidujcie Volksdeutschów i zdrajców.

4) Wykonujcie ściśle rozkazy Tymczasowego Rządu Francuskiego i Narodowego Komitetu Ruchu Oporu. Polacy! Zbliża się chwila decydująca. Wszyscy do walki o wyzwolenie Polski i Francji!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego we Francji”

Realizując powyższy dekret przystąpiono w obu strefach do tworzenia Polskiej Milicji Patriotycznej. Po wyzwoleniu Francji polskie lewicowe oddziały partyzanckie przeformowano w regularne formacje wojskowe, które jako 19 i 29 Zgrupowanie Piechoty Polskiej pod dowództwem mjr. Bolesława Jelenia, w składzie i armii francuskiej zdobywały linię Zygfryda, forsowały Ren, a po zakończeniu wojny pełniły służbę okupacyjną m. in. w Tuttlingen, Baden — Baden i Lindau. W listopadzie 1945 r. oba zgrupowania wróciły do kraju z bronią i ekwipunkiem do dyspozycji Ludowego Wojska Polskiego, a 17 listopada defilowały w Alejach Ujazdowskich.

Z uznaniem powitały lewicowe ugrupowania emigracyjne utworzenie PKWN w Chełmie Lubelskim, uznając w wydanej 30 lipca 1944 r. deklaracji PKWN w Polsce „Jako jedyne legalne źródło władzy w Ojczyźnie”, a „Jedność Polska” w sierpniu tegoż roku głosiła: „Polacy za granicą witają utworzenie w Kraju PKWN”, informując dalej, że PKWN we Francji „w imieniu wychodźstwa polskiego we Francji zobowiązał się zmobilizować wszystkie siły emigracji dla pospieszenia z pomocą walczącemu narodowi i wzięcia jak najwydatniejszego udziału w wojnie u boku naszych sojuszników”.

Tak więc w wyniku starań polskich komunistów we Francji nastąpiła nie tylko konsolidacja lewicowych ugrupowań emigracyjnych do walki z Niemcami, ale również współdziałanie tych ugrupowań z ludowym rządem w Polsce. W Pas-de-Calais pismo „Niepodległość” ogłosiło drukiem treść wydanej w Chełmie Lubelskim Manifestu do Narodu Polskiego z 22 lipca 1944 r.

W październiku 1944 r. Tomasz Piętka wysłał w imieniu PKWN we Francji depezę do PKWN w Lublinie, w której informował o stanie organizacyjnym PKWN we Francji, o zorganizowanych polskich siłach zbrojnych, o projekcie zorganizowania zjazdu emigrantów w oparciu o manifest chełmski oraz wysunął propozycję, by PKWN w Lublinie uznał oficjalnie PKWN we Francji za swoje przedstawicielstwo. W odpowiedzi PKWN w Lublinie zaprosił do Polski delegację Polonii francuskiej.

Podsumowaniem działalności lewicowych organizacji polskich we Francji zajął się Zjazd zorganizowany przez PKWN, który odbył się w grudniu 1944 r. w Paryżu. Pod przewodnictwem Polskich Grup FPK nastąpiło zespolenie postępowych i demokratycznych sił polskiego wychodźstwa oraz opracowanie platformy ideologicznego działania dla dobra Polski.

Zjazd wypowiedział się za kontynuacją poparcia dla PKWN, w czym znaczną rolę odegrał telegram nadesłany przez KRN i PKWN w Lublinie a podpisany przez Bolesława Bierut i Edwarda Osóbkę-Morawskiego, w którym zapewniano powracającym do ojczyzny pracę i ziemię, a Polakom pozostającym na emigracji opiekę i kontakt z Polską. W telegramie zaproponowano także, by Zjazd wytonił pięciu przedstawicieli do Krajowej Rady Narodowej. Wybrani zostali: Tomasz Piętka — przewodniczący PKWN, Franciszek Wawrzonka — zastępca przewodniczącego PKWN oraz Stanisław Stęplewski, Aniela Makuchowa i Julian Andrzejewski. Ich pobyt w kraju w pierwszych miesiącach 1945 r. i sprawozdanie, jakie złożyli po powrocie do Francji jeszcze bardziej przyczyniły się do zjednoczenia emigracji wokół PKWN i Rządu Tymczasowego PRL.

Gdy rozpoczęła się akcja repatriacyjna, wielu działaczy emigracyjnych powróciło do Polski włączając się bezpośrednio do budowy socjalistycznej Ojczyzny.

RADOŚĆ MUZYKOWANIA

Prof. Pierre van Hauwe proponuje...

W DRUGIEJ połowie czerwca, zaproszony przez kolo metodyków Instytutu Wychowania Muzycznego UMCS, przebywał w Lublinie wybitny muzyk i pedagog holenderski, dyrektor Instytutu Orff-Kodaly'a w Delft, profesor Pierre van Hauwe. Wiza miała charakter poglądowy, a cykl wykładów związany był z metodą umuzykalnienia dzieci w oparciu o teorie Orffa, Kodaly'a i doświadczenia własne profesora.

Kurs metodyczny profesora Pierre van Hauwe miał zakres ogólnopolski, uczestniczyła w nim liczna grupa studentów Wydziału Wychowania Muzycznego UMCS, studiów dziennych i zaocznych (o kierunku wychowanie przedszkolne).

— Jest pan wielkim zwolennikiem metody Orffa i Kodaly'a. Jakie cechy czy też właściwości tego sposobu nauczania uważa pan za najistotniejsze?

— Z pewnością fakt twórczego działania dziecka głoszonego przez Karola Orffa i zjawisko przeżycia estetycznego muzyki według Zoltana Kodaly'a.

— W krajach Beneluxu, Meksyku, ZSRR, RFN, Holandii, a także w Polsce — mówi się o metodzie profesora Pierre van Hauwe!

— To wychodzi z mojego serca, z miłości do muzyki, nie jest to jakaś specjalna, wyszukana metoda. W sumie rzecz w rażącym, spontanicznym muzykowaniu już na etapie bardzo elementarnych, prostych motywów melodycznych, rytmicznych, w zakresie skromnych zestawów instrumentalnych (flety proste, zespół perkusyjny). Posługuję się skalą dorycką, lidyjską i mikslidyjską — dzieci je bardzo lubią. Opiaram się na folklorze, między innymi afrykańskim i meksykańskim. Cóż to za bogactwo możliwości wyrazowych, metrycznych, kolorystycznych, jakież pole do improwizacji!

— No ale od czegoś trzeba zacząć. Wyobraźmy sobie: oto pierwsza lekcja z nową grupą matych, nieznaną panu dzieci...

— Przede wszystkim staram się nawiązać z nimi kontakt psychiczny, zainteresować swoją osobą, tym co robię, co ze

sobą przyniosłem (chodzi o instrumenty). Potem następuje zabawa, wszystko dzieje się na zasadzie naśladowstwa, echa. Nie operuję nieznanymi im pojęciami, nie odwołuję się do symboliki. Po prostu wraz z nimi robię muzykę: rytm, barwę, melodię. Rytm wyprowadzam z tekstu (sylaby), melodię z frazy zdania itd. Robię muzykę to moja dewiza.

— Już widzę miny pedagogów szkół muzycznych: gdzie Bach, kompozytorzy klasycyści, romantycyści, gdzie prawidła instrumentalne Czernego, Cramera, i im podobnych?

— O właśnie! A co zrobiono w szkołach z muzyką przed Stamitzem i po Czajkowskim? Gdzie całe bogactwo muzyki Środkowiecza, Renesansu, kogo pasjonuje muzyka współczesna? Tylko klasycyzm i ciągłe klasycyzm: Mozart, Haydn ileż można! I cóż to daje? Profesjonalizm, który nie zawsze idzie w parze z perfekcjonalizmem. Ja tego nie chcę.

Rozmawiała:
Teresa Książka

BIEGLEM drogą koło stajni i wozowni, ścigany okrzykami Adka, który paskudnie umorusaną gębą stał okrakiem nad placikiem świeżego krowieńca i wołał raz za razem: „Stasek, Stasek, syple ci się z dupy piasek!”. Przed chwilą ciągnął kijem w krowie łajno, którego bryzgi zostawiły na mej białutkiej koszuli szpetne plamy. Huknąłem go za to w ucho, a on dołożył mi w okolicę żołądka. Zdegustowany do zabawy postanowiłem nawiać w kierunku Młynówki, aby wyprać w niej koszulę i wysuszyć ją na słoneczku, zanim ktoś z dorosłych ujrzy mnie z tak hańbiącymi do wodami kłeski. To, że nie udało mi się planu tego zrealizować, zawdzięczam wszystkim czynnikom, które spowodowały, że przed jedenastu laty, w dniu 1 sierpnia 1914 roku, rozpoczęła się wielka a-

o Witosie tylko tyle, że nie używał krawata. Wiem jednak, że był to rok nader pamiętny, w którym mój własny mały świat, chwilowo zachwiany w posadach, powrócił do milej równowagi. Nigdy mi na myśl nie przyzło (bo i skąd?), że małżeństwo wuja Stanisława może spowodować zmianę naszych wakacyjnych planów. Coroczny wyjazd do dziadkowego domu nad Olzaniczką był tak samo uświęcony tradycją, jak wieczór św. Mikołaja, choinka czy Rezurekcja na Wawelu. Stanowił taki sam punkt „życiowego programu” jak zaduszkowa wyprawa na cmentarz Rakowicki lub odwiedźnię teatru w zimowym czasie, gdy na deski jego sceny wkraczało „Betleem Polskie” Lucjana Rydla. Po prostu nie mieściło się nam w głowach, że wakacje można spędzić gdzie indziej niż w Uhercach,

ojej, szczęśliwa, że znowu może kowic raki w mulistym strumieniu na Kiertyniach, zwozić zboże ze Złotej Góry i kąpać się w ulubionym baniorze „pod sztreką” lub przy jazie. No i biegać z kundliowatym seterem Miłtusiem, który w założeniach wuja miał być stroгим psem łańcuchowym, a w wyniku naszych starań stał się rozpieszczonym czworonogiem, bezczelnie odmawiającym pełnienia strażniczych usług. Cóż w tym dziwnego? Kto raz zakosztował cudownej swobody w towarzystwie pokrewnych duchem istot, ten nie da się już przykuć do budy, choćby była wymalowana w kolory zaprzyjaźnionego państwa. Wymuszony przez wzgląd na dziadka modus vivendi rodziny z jej okresową zakazką w postaci wuja Stanisława miał także ten skutek, że od tego czasu nie mieszka-

swoimi, którzy przeschigali się w okazywaniu nam zdwojonej sympatii. „Pan prefesor z Krakowa”, spędzający wakacje na pisaniu książek, stał się powiernikiem i doradcą różnych Ilków, Leszków i Fiduńlek, a „pani profesurowa”, dysponująca podręczną apteczką, zyskała pozycję kierowniczką zakładowego ośrodka zdrowia, jeżeli już koniecznie musimy używać dzisiejszej, dziennikarsko - biurokratycznej nomenklatury.

O ile rodzice w miarę możliwości unikali odwiedzania „palacu” — zwłaszcza mama była w tej sprawie bardzo konsekwentna — o tyle my, bez żadnych oporów korzystaliśmy z rajskiego sadu pełnego śliw, gruszy i jabłoni, pielęgnowanych przez ogrodnika Wasylę. Naszą szczególną sympatią cieszyły się słodkutekie bergamotki pieczone w chlebowym piecu, ogromne soczyste klapsy oraz złociste renklody. Pod koniec wakacji asystowaliśmy przy fabrykacji powideł, ustawiając niezliczone stoje na półkach wielkiej, beczkowo sklepionej sali, stanowiącej najstarszą ponoć część dworu. Ta chłodna, pachnąca jabłkami przestrzeń, stale wypełniona zielonkawa, przesianą przez gąsienicę drzew poswiatą, na zawsze skojarzyła się w mej pamięci z delikatnym smutkiem odpływającego lata. Tak samo jak postać dziadka, siedzącego na pniu ściętej gruszy i wspartego na lasce ze srebrną galką, na zawsze stała się symbolem dojrzałej radości życia, spokoju późnych lat, ustaleń jak miód słodocy pogodnej starości.

Ciocia Margit w obawie przed komarami wcześniej opuszczała ogród i znikała w swym wymalowanym na węgiersko buduarze. Wtedy w grabowej alei zjawiali się

Węgierska ciocia

Stanisław Pagaczewski

wantura, zwana pierwszą wojną światową. Gdyby nie to, nigdy bym się w drodze nad Młynówkę nie natknął na przyszywaną ciocię Margit, i sprawa konfliktu z Adkiem nigdy by się nie stała przyczyną mej późniejszej, wleoletniej przyjaźni ze ślepym Józkiem.

W wyniku wiekopomnej decyzji Najjaśniejszego Pana, cesarza Austrii i króla Węgier, mój wuj Stanisław znalazł się chwilowo na Węgrzech, gdzie zdążył podbić serce uroczą Margit Remenyi. Cesarz, który miał ważniejsze sprawy na głowie, na pewno nie zamierzał kojarzyć małżeństwa mego wuja z piękną Węgierką, ale jednak je skojarzył, co jest jeszcze jednym potwierdzeniem ludowego porzekadła, że chłop strzela, a Pan Bóg kulę nosi. Sporo lat minęło, zanim wuj Stanisław rozszedł się ze swą pierwszą żoną, ciocią Tosią, ożenił się z Margit i sprowadził ją do niepodległej już Polski. Chcąc zrehabilitować swą miłą rozłąkę z ojczyzną i rodziną, wymalował cały dom na węgierskie kolory, nie zapominając nawet o ulach, płotach, a nawet o wjazdowej bramie na dworski gazon. Ponieważ młoda małżonka nie chciała się kąpać w Olzaniczce, gdyż kamyki wyścielające rzekę były zbyt ostre dla jej delikatnych stopek, zbudował na Młynówce drewnianą łazienkę, zaopatrzoną w gładko wyheblowaną podłogę. Łazienkę tę również kazał wymalować na węgiersko — był tam nawet fryz z czerwonych i zielonych papryk na białym tle — podłogę jednak zostawił w kolorze naturalnym dla sosnowych desek. Ciocia Margit chętnie korzystała z miłego ustronia nad Młynówką, zażywając kąpiele w czystej wodzie, która po obmyciu jej nader zgrabnej sylwetki spełniała dodatkową i pożyteczną pracę, poruszając bliski młyn i tartak. Tak więc fakt, że uciekając przed Adkiem wpadłem na ciotkę, był zupełnie logiczną konsekwencją polityki bokobrodzkiego mieszkańca Schönbrunnu.

Miłość ciotki do wuja Stanisława była znacznie większa niż jej znajomość języka polskiego. Piękna Węgierka wciąż jeszcze miała wielkie trudności z opanowaniem składni, fleksji i akcentu, co nawiasem mówiąc pogłębiało erotyczny amok jej małżonka. Na mój widok wydała węgierski okrzyk przerażenia pomieszanego z obrzydzeniem i chwyciwszy mnie za ucho zaprowadziła przed oblicze mamy, która tonem nie znoszącym sprzeciwu raz na zawsze zakazała mi się bawić z Adkiem. Może bym nawet nie posłuchał, gdyby nie fakt, że rozkaz ten pod względem fonetycznym brzmiał bardzo dwuznacznie i tym samym niezwykle zabawnie.

Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że — w przeciwieństwie do wielu dziejopisów — mogę dokładnie określić rok, w którym się to działo. Oczywiście fakt, że był to przedostatni rok „panowania” prezydenta Wojciechowskiego i premiera Witosy, nie ma dla sprawy żadnego znaczenia. O Wojciechowskim prawie nie wiedziałem, a

gdzie znalazł się każdą ścieżką, każde głębsze miejsce w rzece i każde drzewo w sadzie. Wakacje i Uherce, to było jedno i to samo. Tymczasem uczuciowe perypetie wuja spowodowały istną rewolucję w ustalonych, zdawałoby się ostatecznie, pojęciach na ten temat. Jednolity front rodziny w stosunku do jego posunięć wyraził się w bojkocie miejscowości, która w założeniu dziadka miała być czynnikiem wzmacniającym jej wartość. Choć przez dwa miesiące w roku dziadek Ernest chciał mieć przy sobie wszystkie swe dzieci i wnuki, rozrzucone na co dzień we Lwowie, Krakowie i Kosowie. Rozwód i ponowne małżeństwo wuja, potępione przez całą jego rodzinę, stało się istnym trzęsieniem ziemi, którego skutki chyba najboleśniej odczuł dziadek, dochodzący w tym czasie do kresu swego osiemdziesięcioletniego żywota.

Tak więc zeszłoroczne wakacje spędziłem w dalekim, huculskozydowskim Kosowie, u łunego wuja, leśnika, w towarzystwie jego dzieci: Sławka, Julka i Luśki.

Wakacje te zaznaczyły się w mym życiu kilkoma zdarzeniami, z których najbardziej pamiętnymi było pogłaskanie żywego jastrzębia, znalezienie łupkowej płytki z niezwykle wyraźnym odbiciem galezi skrzypu, oraz znajomość z prawdziwym pustelnikiem, zwanym przez wszystkich „Sława Bohu”. Do nie mniej ważnych zdarzeń zaliczyć trzeba samodzielne wyjscie na Michałka, czyli pagórek wznoszący się nad miasteczkiem, oglądanie „wielkiej wody” na Rybnicy, stanowiącej naturalny ściek wszystkich wychodków, oraz udział w akcji nielegalnego dożywiania pensjonarzy miejscowego kryminału przy pomocy gruszek zbieranych w sadzie wujcia Nemia. Były to więc doświadczenia z zakresu przyrodniczo - turystyki i zagadnień społeczno - narodowościowych, jako że miasteczko było zaścianek przez Polaków, Żydów i Huculów. Nację polską reprezentował mały światek urzędniczy oraz pacjenci doktora Tarnawskiego, który to lekarz zbijał majątek na odchudzaniu grubasów z całego kraju, czyniąc to głównie przy pomocy gimnastyki i diety. Żydzi handlowali wszystkim co się dało, a Huculi zarabiali głównie rąbaniem lasów i zwózką drewna do tartaku.

Dodatkową atrakcją wakacji w Kosowie stanowił pobyt dziadka, który również zrezygnował w tym roku z wyjazdu do Uherzec, pragnąc w ten sposób zaznaczyć swój negatywny stosunek do małżeństwa wuja Stanisława. Aby umożliwić dziadkowi spacerowanie po ogrodzie, wujciu Neni zaprowadził w nim ścieżki, nieustannie „gracowane” przez spórą gromadkę wnuków.

Na szczęście rodzinny konflikt wlecił szybkiemu załagodzeniu, tak że w rok później wszystko znalazło się na swoim miejscu, łącznie z wakacjami. Wprawdzie dorodzi nie pozbyli się tak szybko uprzedzeń w stosunku do „tej Węgierki”, jednak młodsza część rodziny, daleka od zasadniczych, moralno - etycznych założeń, dostosowała się do situa-

bsmy już we dworze, tylko w przystosowanym na ten cel spichlerzu.

Była to piętrowa, zupełnie pozabawiona wdzięku budowla, usytuowana w pobliżu stajni, obory i stodoły, tuż nad obszerną gnojówką, w której nieustannie taplały się gęsi i kaczki. W pomieszczeniach na parterze gnieździła się nader liczna rodzina dzierzawcy majątku Abrahama Trattnera. Połowe pierwszego piętra wypełniał magazyn na zboże, druga zaś, podzielona przepierzeniami z desek na kuchnię i trzy pokoje, miała od-



Sys. E. Ingól

łąd stworzyć nasze wakacyjne lozum.

Przeniesienie się do spichlerza, traktowane początkowo przez naszych rodziców jako swoiste wygnanie z raj, miało dla nas posmak wspaniałej przygody. Niemal z dnia na dzień znaleźliśmy się w kregu niezwykle ważnych spraw, toczących się od świtu do wieczora. Wprawdzie i przedtem byliśmy ich uczestnikami, ale działo się to na zasadzie pewnej oświeśności. Teraz poculiśmy się ich współtwórcami, poczynając od porannego wirowania mleka na „centryfudze”, a kończąc na asystowaniu przy ostatnim udoju i zakładaniu karmy za drabinki.

Wuj Stanisław, dzięki swej koczowniczej szorstkości i holdowaniu zasadzie trzymania personelu „za pysk”, nie cieszył się sympatią formal, pastuchów i dojaręk. Konflikt mych rodziców z nie lubianym „panem rządzą” spowodował, że zaczęto nas traktować jako naturalnych sojuszników w klasowej walce. Znaleźliśmy się nagle między

naszimi rodzicami, aby popaczerować przed snem przy akompaniamencie pohukiwania sów gnieźdzących się w konarach drzew i rechotania żab w zarośniętym zieloną rzęską stawie.

Dziś wiem, że ciocia Margit boleśnie przeżywała tęsknotę za swym krajem, do czego niewątpliwie przyczyniał się chłód okazywany jej przez rodzinę mego. Podejrzewam też, że czasem popłakiwała z tego powodu. Przyczyną też mógł być również wybrany przez nią męczyzna, którego witalny egoizm nie dopuszczał myśli o tym, iż ktoś może być smutny, mimo, że „wszystko jest w jak najlepszym porządku”. Nie wszystko jest bowiem w porządku na tym rzekomo najlepszym ze światów. Cóż jednak wówczas mogłem o tym wiedzieć?...

Z przygotowanego do druku zbioru opowiadań „Zapiski rodzinne”.

Grymasy festiwalowe (3)

Maria Bechcyc-Rudnicka

ADAPTACJĘ „Idioty” dokonaną przez Stanisława Brejdyganta widziałam po raz pierwszy przed laty w Warszawie i mocno się wtedy obraziłam za uchybienie pamięci Dostojewskiego. Lecz z biegiem czasu wkraczały odważnie na sceny coraz bardziej ryzykowne adaptacje bądź „parafrazy” innych utworów, krytycy (ze mną włącznie) napisali spore truzimów na temat karkołomnych trudności związanych z przysposobieniem dramaturgicznym wielkich powieści i dziś nie umiem już powiedzieć, czy to Brejdygant ulepszył swoją pierwotną wersję „Idioty”, czy też ja stałam się minimalistką w mych oczekiwaniach. Dość że pokazany na XXI FTFP spektakl, mający u podłoża streszczenie Brejdyganta, wydał mi się, powiedziałabym — „funkcjonalny” choćby jako wstępna inicjacja szerszej widowni w dzieło Dostojewskiego. I chyba tak jest rzeczywiście, bo pono realizacja sceniczna „Idioty” w Białymstoku wzmogła pokąźnie w tamtejszych bibliotekach zapotrzebowanie na powieść.

A widzowie odczytani w Dostojewskim? Cóż, ci oczywiście nie omieszkali dostrzec, że w inscenizowanym zestawie fragmentów ocalały zaledwie okruszki głębokiej filozofii autora „Idioty”. Trudno. Prawdę mówiąc po zjawiskowych spektaklach „Braci Karamazow” i „Biesów” (pt. „Nikołaj Stawrogin”) w Moskiewskim Teatrze Artystycznym Stanisławskiego, nie powstała, zdaje się, dotąd żadna inna wersja sceniczna jakiegokolwiek powieści Dostojewskiego, która by nie budziła mniejszych lub większych zastrzeżeń. Jeżeli więc zechcemy podejść do białostockiego przedstawienia z rozsądną wyrozumiałością, to dopowiedziawszy sobie meritum znanych nam treści dzieła, możemy być wdzięczni artystom Teatru Węgierki chociażby za te sceny, które jako znak wywoławczy dały nam dostrzec sposobność ponownego obcowania z myślą wielkiego humanisty.

Albowiem nie jest prawdą, że twórczość Dostojewskiego „z perspektywy czasu wygląda na filozoficzną porażkę”, (twierdzenie pewnego recenzenta). Naprawdę „przegrana” jest kategoria ludzi, którzy potrafili skazać w praktyce najwznioślejsze idee świata, wyznając je werbalnie na pokaz.

Chciałoby się i należało omówić poszczególne momenty spektaklu Wandy Laskowskiej, lecz muszę już poprzestać tu na paru uwagach.

W moim odczuciu, najcelniej oddawała klimat Dostojewskiego pełna krótkich spiek scena u Nastasji Filipowny, z osobliwą kulminacją psychologiczną w rozgrywce przy spalaniu rubli. Natomiast skrótkowa finałowa scena przedstawienia oczywiście nie może iść w zawody z przejmującym nocnym ezuwaniami przy zwłokach w „Nastasji Filipownie” Wajdy.

Praca nad całą obsadą aktorską wydała mi się znacznie solidniejsza w spektaklu „Idioty” aniżeli w prezentacjach niektórych innych teatrów, np. obydwóch szczecińskich. Bo też biorąc pod uwagę trudności, jakich następcza aktorom ulamkowe opracowanie postaci w adaptacji Brejdyganta. A przeciwko mimo pozbawienia ich w dużym stopniu możliwości pełnego „samookreślenia się”, jakże udatnie wypadł np. epizod Matki Gani (Maria Chodecka) i jego siostry Barbary (Irena Kulicka), ten moment „wizyty” złożonej przez Nastasję Filipownę zabiedzanej rodzi-

nie „narzeczonego” (na mocy układu ze starym rozpustnikiem Tockim). Nader prawdziwie odtwarza Zenon Jakubiec możliwego tylko w Rosji tamtych czasów szalonego kupca — bogacza Rogożyna, budzącego mimowolny podziw ogromem pasji i na pewno — współczucie, żal po marnującej się energii.

Nastasja Filipowna Teresy Czarneckiej-Kosteckiej też przecie została odtworzona bardzo wiernie — postać żywcem wzięta z epoki, ma się rozumieć — nietuzinkowa, ale spotykana w rosyjskiej rzeczywistości; ekscentryczna, fascynująca odwagą cywilną, przeciwstawiana prowokacyjnie zmuszającym konwencjom towarzyskim. Kobieta, rzec by można — z otwartą raną w sercu (przypomina mi się tu znowu jak przy „Cudzoziemce” Heinowskiej: „Ich sah die Schlang die dich am Herzen frisst... Ktoś użył w recenzji przymiotnika „kapryśna” — cóż za uproszczenie!).

A Księżę Myszkina Wojciecha Pisarka?

Nieraz zdarza się nam zobaczyć w muzeum na nieukończonym obrazie obojętnym naszkicowane węglem kontury jakiejś postaci... Otóż tak nikła jest właśnie postać Księcia Myszkina w zestawieniu z jaskrawymi postaciami Rogożyna i Nastasji Filipowny. I nie ma w tym winy ani aktora, ani reżysera. Ten laicki święty został „niedomalowany” w adaptacji. Zresztą może nie ma tu winy i Stanisława Brejdyganta. Trudno byłoby włożyć na barki tej postaci przetworzone w monologu principia humanistycznej filozofii Dostojewskiego nie otrzymując w rezultacie postaci rezonera. Zresztą „świętość”, jako z natury swej bezkonfliktowa, jest raczej niewdzięcznym materiałem scenicznym. Wojciech Pisarek ma warunki potrzebne do roli Księcia Myszkina i zrobił, moim zdaniem, co się dało zrobić. Nie wiem w gruncie rzeczy, czy jakkolwiek aktor potrafiłby uczynić z Księcia Myszkina postać główną, według pozornej sugestii tytułu dzieła Dostojewskiego. Głównym bohaterem jest właściwie sama filozofia pisarza, Księżę Myszkina, powieściowy nosiciel tej filozofii, staje się na scenie czymś w rodzaju repoussoir do ukazania różnych postaw ludzkich.

Lecz basta, miało być „parę uwag”. A więc jeszcze tylko dobre słowo pod adresem scenografa, Andrzeja Sadowskiego — za nobliwą, mroczną „tonację” powlóczystych kotar z namalowanymi na nich ikonami i urywkami tekstów wypisanych cyrylicą.

O przedstawieniu Szekspirowskiej „Burzy” — nihil aut... male. Może więc lepiej nihil? — E, nie — jednak choć jedną pretensję. Do Prospera. Światły rzecznik postępu zrazil mnie w wykonaniu Mieczysława Banasika już na wstępie przekrzykanym monologiem, budząc z góry litość dla uciskanego Kalibana (Tadeusz Zapaśnik), który weale wymownie upominał się o trochę niezawisłości. Ten Prospero poczynający sobie jak kolonizator! I przewinęła mi się przez głowę świętokradcza myśl, że „Burza” boskiego Szekspira staje się kontrowersyjna.

Po tych rozważaniach „nieuczestnych” miło mi wyznać, iż z prawdziwą przyjemnością obejrzałam na XXI FTFP kilka pozakonkursowych imprez towarzyszących. Zwłaszcza poetycko-problemowy spektakl pt. „Przeszłość to dziś, tylko cokolwiek dalej”, w wy-

konaniu aktorów Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej, oraz przedstawienie „Malanki” Teresy Lubkiewicz-Urbaniowicz, bardzo wartościową prapremierową pozycję repertuarową Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu, no i, proszę sobie wyobrazić — „Celestynę” Rojasa zaprezentowaną przez toruński Państwowy Teatr Lalek „Baj Pomorski”. Na scenie dla dorosłych (Jasne!).

Ta „Celestyna” stała się istną rewelacją, przebojem XXI FTFP. Postać, którą Szanowny Czytelnik widzi na zdjęciu, to ogromna kukła kilkumetro-

lowanie rączkami lalek. Świetnie też zróżnicowano głosy postaci. W wielu momentach udaje się animatorom uzyskać ruchem zmianę wyrazu twarzy lalki. Słowem — wielkie brawo dla całego zespołu i dla wszystkich twórców spektaklu, z tymi co nie ukazują się nawet przy oklaskach — włącznie. A oto nazwiska inicjatorów i twórców czołowych: Bogumiła Pastonek i Konrad Szachnowski (adaptacja), Szachnowski jest zarazem reżyserem przedstawienia), Lucjan Zamel (scenografia), Roman Nowacki (muzyka). Brawo też za świetnie opracowany program, z wykorzystaniem reprodukcji obrazów i grafiki Pabla Picassa z albumu „Picasso w Awinionie”.

Na zakończenie festiwalu wystąpił gościnnie Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy, demonstrując „Kubusia Fatalistę”. Pisać dopiero dziś o tym bodaj już dwuletnim (?) kapitalnym figlowaniu z Diderotem — po prostu mi nie wypada, a więc tylko — dzięki za dwie godzinki homerycznego śmiechu. Mój wniosek końcowy:



Fernando de Rojas — Celestyna

Fot. Janina Gardzielewska

wej wysokości, w rodzaju pokazanych kiedyś na wrocławskim międzynarodowym festiwalu teatru otwartego przez amerykańską Bread and Puppet Company. Cała scenka kukielkowa mieści się w rozsuwanych z przodu fałdach obszernej kiecki figury — groźnej podobizny starej rajfurki, która będzie się ukazywać w miniaturze na wszystkich trzech kondygnacjach scenki, zaznaczonych falbanami „halki”. Pomyśl, jeśli się nie mylę, bez precedensu(?). Z radością stwierdzam, że animatorzy nie narzucają się tu widowni w żywym planie, co wzmaga wydatnie dbałość o technikę ściśle animatorską. Wręcz wirtuozowskie było tu manipu-

Nie było tak źle z tym XXI Festiwalem Teatrów Polski Północnej, jak to sugerowali niektórzy uczestnicy Konwersatorium krytycznego i Forum dyskusyjnego omawianej imprezy. Co prawda nie objawił się na prezentacjach konkursowych żaden ewenement, ale też i nie zaszedł żaden skandal. Otóż poziom festiwalu odbija dość wierne poziom danego polskiego sezonu teatralnego. XXI FTFP był „znaczący” w tym sensie, że orientował w aktualnych możliwościach naszych teatrów wojewódzkich i wykazał pilną potrzebę zastanowienia się nad ich troskami, dotyczącymi w głównej mierze kadr aktorskich.

Lucmilla Janusewicz

GONITWY

nieforemne
w swoich poczynaniach

bezsztaltne
jak meduzy
od fałszywych kształtów

zdyszane
po maratonowych biegach
za szczęściem

umierają
biedne piękne
dziewczyny

oświeć je Panie

kiedy ze zmierzchu wylania się
ciemność i
przenika każdy skrawek
moich zmysłów
przyciągając wilgotnym zapachem granatu

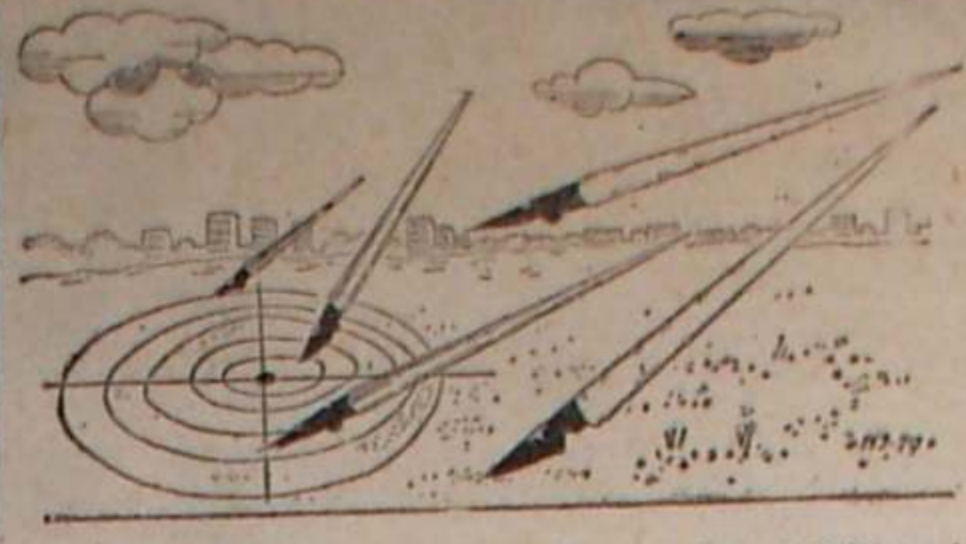
rozebrana z gestów dnia
rodzę się na nowo
z lukami seledynowych mostów

NOC

mojego miasta
roziskrzonych postępem naszych czasów
i moim rozedrganym pożądaniem

ja zawieszona na ósmym piętrze
swego horyzontu
tkwię w spełnianiu
rytuału odwiecznym
błogosławiąc dyskrecję nocy

NOS



Rys. J. Witkowski

Janusz Gaudyn

AFORYZMY

- Parawany budowane z bliznich są coraz modniejsze.
- Dowcip jest odwagą myśli.
- Los jest ślepy, ale zawsze znajduje sobie właściwego człowieka.
- Wielu byłoby chętnych, gdyby droga do nieba nie prowadziła przez cmentarz.
- Kiedy dwaj biegną jednakowo szybko, jeden z nich biegnie ładniej.
- Udawajmy mądrych. W końcu coś udawać musimy.

HUMOR JUGOSŁOWIAŃSKI



Stanisław Turczyn

Fraszki zoologiczne

Doła-ż ty moja kozmarna, skąd ta opinia fałszywa, że owca musi być czarna, no i w dodatku parszywa.

*

Bolesnie osioł fakt ten przeżywa, kiedy ktoś durnia-osłem nazywa.

*

Oburzone małpy głośno temu przeczą, że mają naturę i twarz człowieka.

*

Nawzajem koła własnym grzbietem odpowia, gdy ślepy furman znajdzie się w rowie.

*

Czarne kruki zakrakały: „Nie nie łączy nas z tym białym!”

*

Strusia polityka nie przemawia do mnie, bo ani odwaga tam ani rozsądek, lecz znając od kuchni polską gastronomię, chciałbym jednakowoż mieć strusi żołądek.

Władysław Katarzyński

MYŚLI RÓŻOWE

Kiedy go przerosli, pocieszał się, że buty i tak nosi większe!

Wieszając jak Cassandra nie spodziewaj się laurów za krasomówstwo.

Piszący dla przyszłych pokoleń powinni pisać czytelniej!

Coraz częściej jedynym problemem, z jakim szybko potrafimy się uporać, jest przecięcie sznurowadła.

Robert Karpacz

ODPRYSKI

Usychał z miłości do niej. Ona w zamian ofiarowała mu zielnik.

Najeźściej bankrutują ludzie z bogatą przeszłością.

Zycie jest piękne, gdy się nie skąpi retuszu.

Grube ryby biorą na „zalewanego robaka”.

Pomoc

Zbigniew Uchnast

WOJTUS otrzymał pierwszą pracę. Po kilku dniach wrócił do domu bardzo zmartwiony i zły.

- Co ci jest? - pyta ojciec.
- Jest źle. Chyba rzucę tę pracę.
- Dlaczego? - zaniepokoił się ojciec.

- Widzisz, tato, pomagaleś mi w szkole podstawowej, odrabiałeś niemal wszystkie lekcje. W szkole średniej pisałeś mi wypracowania z polskiego i robiłeś zadania z przedmiotów ścisłych. W ogóle cały czas mi pomagałeś. Pomóż mi i teraz.

- A co, masz jakieś trudności w pracy?

- Trudności? Ja w ogóle nie mam pojęcia co tam mam robić, na niczym się nie znam.

- Jakże widzisz wyjście? Może bierz robotę do domu i będziemy wspólnie wieczorami pracować.

- To można. Ale ja przecież muszę też coś robić w godzinach pracy. Już wiem. Będiesz przychodzić pomagać mi do biura. Jest tam akurat obok takie niewielkie biurczko...

Złodziej

Marian Karczmarczyk

WRACAŁEM do domu. Na nie najlepszej jezdni tworzyły się kałuże. W butach miałem wodę, co zwiększyło ich ciężar o kilka kilogramów. Mimo to wytrwałem posuwalem się do przodu. Wiatr wył, łamał gałęzie drzew, chłodem kąsał moją twarz i deszczem pluł w oczy. Nawet największy wariat w taką pogodę siedziałby w domu, a mnie głupota pchnęła w objęcia tej nawałnicy. W dodatku panowały cholerne ciemności, które potęgowały grozę sytuacji. Wkrótce przez to straciłem orientację i nie wiedziałem, gdzie się właściwie znajduję. To zmusiło mnie do podjęcia błyskawicznej decyzji: postanowiłem wstąpić do pierwszego z brzegu domu i przeczekać najgorsze. Zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Położyłem nieśmiało dłoń na klamce i pchnąłem drzwi. Ustąpiły. Wszedłem niepewnym krokiem w maleńki korytarzyk. Posuwając ręką po ścianie trafiłem na kontakt. Błysnęło światło.

Rozejrzałem się wokół i w pewnym momencie wzrok mój spoczął na wieszaku, który stał w kącie. Wówczas ogarnęło mnie zdziwienie: na tymże wieszaku znajdowały się... mój płaszcz i kapelusz. Po otrząśnięciu się z chwilowej konsternacji doszedłem do wniosku, że zbieg okoliczności sprawił, iż trafiłem do domu złodzieja, który ukradł mi te rzeczy. Ale nie koniec na tym. Za chwilę czekała mnie następna niespodzianka. Zajrzałem do jednego z pokoi i stanąłem jak wryty: na biurku stała moja maszyna do pisania, a obok leżały ciapy, które ostatnio kupiłem za honorarium otrzymane z „Kamenu”. Te dowody rzeczowe utwierdziły mnie w przekonaniu, że moje wcześniejsze przypuszczenia nie są żadnymi insynuacjami. Jeszcze przez chwilę biłem się z myślami i wówczas z głębokiej zadumy wyrwał mnie jakiś głos dochodzący z drugiego pokoju. Jak się okazało, był to zasnany głos... mojej żony, która ukazując się w drzwiach rzekła:

- Bój się Bogal! Gdzie ty tak popileś? Przecież już od wielu lat nie brałeś do ust kropelki wódki!

Słowa te wyprowadziły mnie z niesłusznego podejrzenia w stosunku do jakiegoś wymyślonego złodzieja. A mówiąc prawdę, miałem już zamiar dzwonić na MO, że trafiłem do „jaskini” przestępcy. I dobrze, że do tego nie doszło! Bo z moich dobrych intencji wyszedłbym w końcu na dumnia. A cała ta historia powstała z winy mojego kolegi, Józka, który „oblegał” swój drugi rozwód i zatrzymał mnie u siebie do późnej nocy.

